W TRZECIĄ ROCZNICĘ REFORMY ROLNEJ

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 7 września 1947 r. | Nr 35 (114)

Instytut Bałtycki
Wydział Biblioteczny
Bydgoszcz, Al. 1 Maja 48

Biblioteka

CW 9037

Pozdrowienie ze Śląska

Bronisław Mazur

W KORONACH DYMU

Sierpniową nocą
zahaczony o wieś mą strunami szyn —
rozdwajał mię pośpieszny pociąg,
że wołałem —
czarny maszyniste
porannym aniołem mi spłyń —
spłynąłem
w stalowym uścisku,
na żelaznych wstążkach
w rozgorzałe serce polskiego Śląska —
w las —
na wietrze konary płyną
w metalicznym szumie —
w koronach dymu,
i ludzie rozkołysani szli, o świcie
wielkie piece ziewały dymem i ogniem,
aż syreny doniosły rycząc, że to życie,
że jednak nie śnię — —

WROCŁAW

Każdy żołnierz idąc śpiewał
— nie będzie Niemiec pluł — —
a oni w wózkach
na worze wór
ciągnęli ukrytą dumę pruską
i nie jeden pluł i oczy krwawe miał —

— tramwaj śpiewnie wiezie ulicą,
lecz mnie zabrakło oczu, bo znów
słyszę, oślepłe okna wciąż krzyczą
i oto —
rozsadził dom ostatni wybuch —
ostatni Niemiec legł kamieniem,
na nim wykuto pomnik zwycięstwa —
dziś inaczej —
hełm uracza psy pożywieniem
— hełm pełen grozy — pełen braterstwa.

Tadeusz Chróścielewski

O SWICIE

Ruiny od 10 minut traciły cień
Węgiel nocy osypuje się ze zgliszczy nieomal ze chrzęstem
Szybciej, a mimo to za wolno, posuwa się zegarów krok,
Ludzie, którzy naokół chodzą nie dostrzegają zniszczeń.

Na nastroszonym sępie z Siegesseule
Oparł się dzień
I czyniąc trójkąt z dłoni złotych
Bez zdumienia patrzy na miedziany miecz,
Co padł u stóp bezrękiego Germanina.

Łatwy to pejzaż, Anno, która przysłałaś nam z redakcji swój
śląski wiersz...
A wiesz, że bardzo cicho dochodzą tu zza lasów, których nie ma
Rogi myśliwskie książąt grodowznośćców.
A głośno cykać musi niewielki zegar w holu fabrycznym,
Gdyż pobudził wiele syren.
A te rozpłonęły nad miastem niby wici najczystszego ognia...
I ja z reporterską teczką
I smukły spawacz z dalekich dzielnic
I chłop jadący po siewnik —
przyśpieszyliśmy kroku
i
niezauważalnie przeszliśmy przez ciemny most,
który wylęgł się pod naszymi nogami
Rzecby kwiat niedoli...

I niedługo potem — a było to 10 po siódmej
Sześć nowych węglarek wytoczyło się z przeznaczalni
Na Polskę kwitnących zbóż.

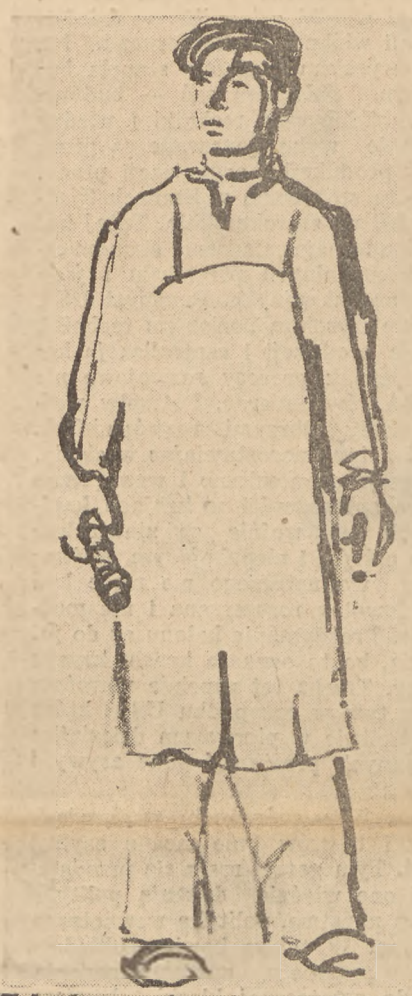

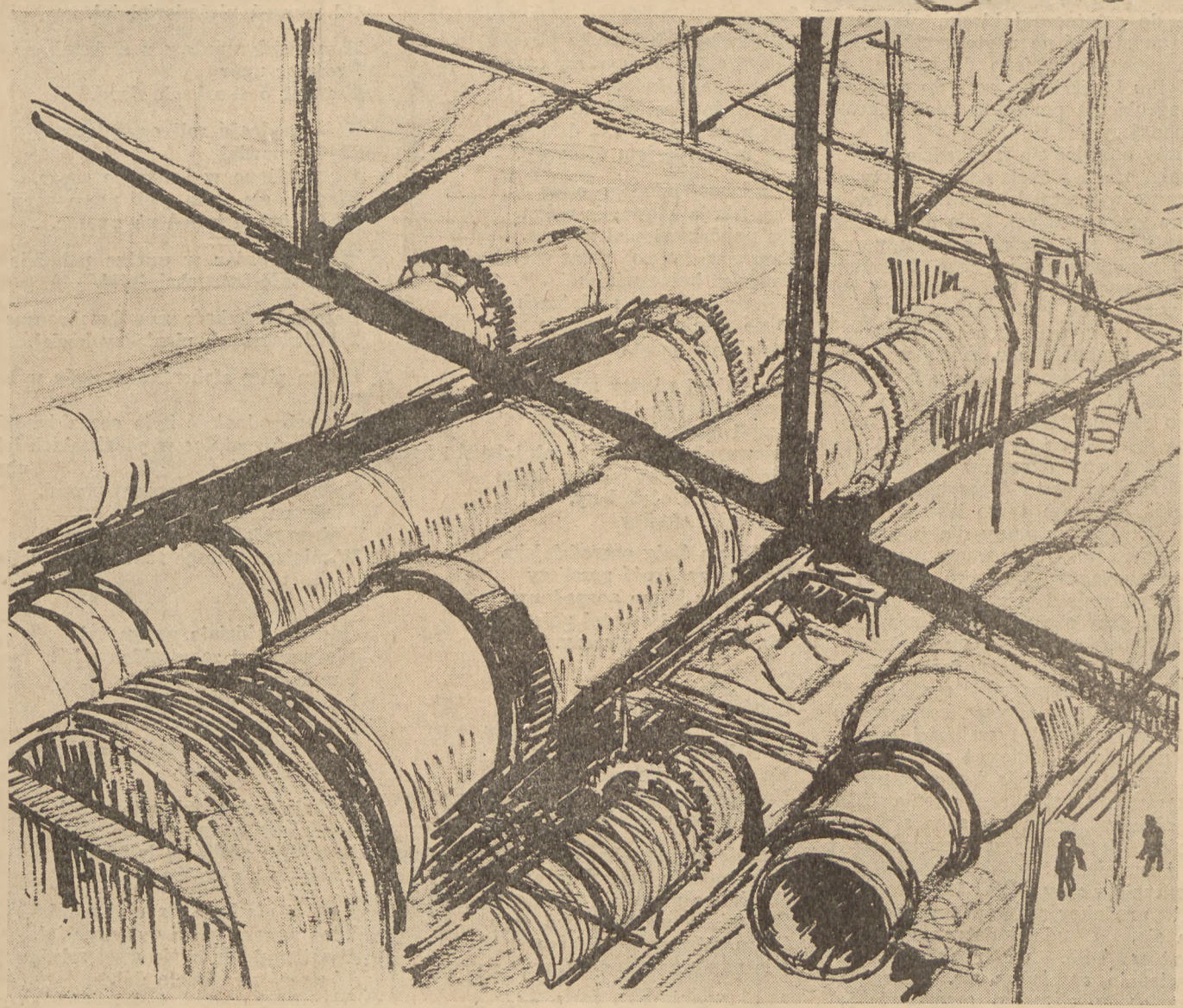

Piece obrotowe w cementowni „Opole — Miasto".

rysunki Jadwigi Bezdzikówny

ROZWÓJ PRZEMYSŁU — TO DALSZY CIĄG REFORMY ROLNEJ

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

Dni 1-16

Tadeusz Orlewicz

USA i Anglia w walce o rynki świata

Fragmenty zagadnienia

Ostatnia wojna światowa przyniosła zasadnicze zmiany w międzynarodowych stosunkach gospodarczych. Przesunięcia w układzie sił rysują się w chwili obecnej dosyć wyraźnie i będzie rzeczą niedalekiej przyszłości przesunięcia ugruntować w zgodnej współpracy międzynarodowej lub przesunięciom tym nadać nowy wyraz. niwelujący sprzeczności i ogniska gospodarczo zapalne.

W okresie wojny rozwinęły się nowe gałęzie przemysłu. Powiększająca się produkcja kauczuku syntetycznego zagraża monopolistycznej pozycji Anglii na odcinku kauczuku naturalnego. Podjęto produkcję syntetycznych materiałów pędnych. Ropa naftowa stała się podstawowym artykułem dla wytwarzania całego szeregu chemikaliów. Bardzo wyraźnie wzrosło zastosowanie w wielu dziedzinach — metali lekkich. Godne uwagi wyniki osiągnięto w dziedzinie produkcji włókna syntetycznego. Na szczególnie wysokim poziomie stanęła budowa maszyn, zwłaszcza zaś — budowa obrabiarek. Zdobycze techniki i wiedzy wszechstronnie wykorzystywane są przez przemysł w produkcji i organizacji pracy.

Zdobycze te stosowano w Stanach Zjednoczonych AP na szeroką skalę. Tutaj nastąpiło ogromne nagromadzenie ekonomicznych sił potencjalnych przemysłu i jego możliwości produkcyjnych. Przemysł USA posługuje się wysokim poziomem techniki, koncentracją produkcji i centralizacją kapitału. Te jednak procesy rozwojowe nie były w USA równomierne. Potrzeby wojny spowodowały olbrzymi rozwój niektórych działów, inne pozostawiając w cieniu.

Dysproporcje ekonomiczne i wewnętrzne gospodarcze sprzeczności w krajach kapitalistycznych po wojnie są zjawiskiem szczególnie ostrym i niepokojącym. Pojemność rynku wewnętrznego nie może być w sposób dowolny rozszerzana i nie można ryzykować rozdymania balonu aż do jego pęknięcia, bo to oznacza krach, kryzys gospodarczy. Trzeba też zupełnie poważnie liczyć się z tym w przypadku USA, które będą niewątpliwie w pierwszym dziesiątku lat powojennych przeżywać silne zrywy i upadki.

Dysproporcji powojennych w krajach koncernów i trustów nie można szybko zniwelować. Tym gorzej rzecz się przedstawia, jeżeli one właśnie dyktują politykę gospodarczą państwa, polityką wewnętrzną i zagraniczną. W takim bowiem układzie stosunków przerosty uprzemysłowienia prowadzą do ostatecznej klęski, bowiem maszyna musi stać na użytek człowieka pracy do pomnożenia jego dobrobytu, a nie do użytku kapitału — czyli do pomnożenia i pogrubienia portfelów międzynarodowej finansjery.

Nie należy obawiać się w zasadzie uprzemysłowienia, rzecz jednak polega na tym, aby maszynie wyznaczyć odpowiednią rolę w systemie gospodarczym. Rolę tę zatracił kapitalizm i to jest jedną z wielu przyczyn jego nieodwracalnej klęski. Poszukiwania drogi wyjścia z takiej sytuacji w USA idą w kierunku jak najsilniejszej ekspansji eksportu w towarach i kapitałach.

W tych warunkach uważa się w USA rolę handlu zagranicznego jako rolę amortyzatora, osłabiającego te wstrząsy i oddalającego jak najdalej klęskę systemu. Ekspansja towarowa i kapitałowa USA nie ma najmniejszych akcentów ogólnoludzkich, choć starają się to Amerykanie światu wmówić. Jest tam tylko akcent egoistyczny, charakterystyczny dla imperializmu gospodarczego. O tym warto pamiętać, aby umieć wyciągnąć właściwe wnioski z aktualnych obietnic i przyrzeczeń dolarowych. **Każda pożyczka północno-amerykańska w chwili obecnej pociąga za sobą penetrację dolara w życie gospodarcze i polityczne kraju dłużniczego, penetrację o charakterze kolonialnym, a więc sprzeczną z zasadami suwerenności i wolności gospodarczej narodów.** Ponieważ gospodarcza sytuacja świata po wojnie jest szczególnie skomplikowana, toteż i zamierzenia USA na tym odcinku noszą ze sobą stygmat nerwowości. Sytuacja jest rzeczywiście i ciekawa i znamienna.

W rezultacie wojny udział USA w ogólnej puli produkcyjnej świata znacznie zwiększa się, a udział dotychczasowych konkurentów USA na rynkach świata odpowiednio zmniejsza się. Charakterystyczną cechą eksportu amerykańskiego jest to, że zajmując pierwsze miejsce w handlu światowym, angażuje zaledwie w eksporcie 9—10% całej produkcji. Im wyższa bowiem w USA produkcja, tym większy eksport. A wzrost produkcji USA może dosięgnąć bardzo wysokiego pułapu.

Ekspansja kapitału północno-amerykańskiego ma w warunkach powojennych charakter prewencyjny. I na tym odcinku następują wyraźne zmiany. Anglia dzięki infiltracji swego kapitału do wielu krajów objęła kontrolę nad kluczowymi drogami wodnymi i kolejnictwem oraz nad produkcją długiego szeregu artykułów. Można twierdzić, że Londyn finansował światowy obrót towarowy i regulował ceny na towary. Wydatki wojenne i zmiany w łonie imperium przekreśliły dominującą rolę Anglii i na tym odcinku. W pierwszym okresie wojny (mniej więcej do marca roku 1941) znaczna przewaga importu w towarowym obrocie zagranicznym Anglii równoważyła się wywozem z W. Brytanii rezerw w złocie oraz w papierach wartościowych i lokatach kapitałowych. Począwszy od marca 1941 r. różnica między importem z USA do Anglii, a jej eksportem pokrywana była na podstawie układu „lend an lease". Kanadyjski wkład w „ogólne dzieło obrony imperium" w wysokości ca 1 miliarda dolarów stanowił w pewnym stopniu dalszą pomoc dla Anglii w latach wojny. Jednak zobowiązania finansowe, powstające wskutek jednostronnego charakteru polityki handlowej W. Brytanii, rosły i rosną w dalszym ciągu.

Anglia z poważnego wierzyciela stała się równie poważnym dłużnikiem. Grube portfele zagranicznych papierów wartościowych przywędrowały z Anglii do USA. a zadłużenia angielskie tylko w kredycie krótkoterminowym wzrosły do 3,5 miliardów f. szt.

Warto tu wyjaśnić, że i przed wojną Anglia miała ujemny bilans handlowy, ale był on wówczas równoważony dochodami od zagranicznych wkładów kapitału angielskiego, dochodami z morskiego frachtu i innych usług. Druga wojna światowa podcięła podstawy tego systemu. To wszystko stawia Anglię przed koniecznością zmniejszenia importu, a powiększenia eksportu kosztem dalszego ograniczenia spożycia wewnętrznego. Jednocześnie jednak cała gospodarka narodowa W. Brytanii domaga się olbrzymich nakładów inwestycyjnych na rekonstrukcję przemysłu i unowocześnienia systemów produkcji. Stąd idzie zaciąganie pożyczek z USA i starania o nowe.

Bilans płatniczy Anglii może być zrównoważony tylko w tym przypadku, o ile eksport angielski powiększy się o 75%, a udział Anglii w obrocie handlowym świata o — 20%. Oznacza to cel bardzo trudny do osiągnięcia, bo w tym stanie rzeczy W. Brytania przekroczyłaby najwyższy swój udział dotychczasowy w handlu światowym z lat 1911—1913. Nie trudno przewidzieć, jak ostra walka towarzyszyłaby takiej zmianie na rynkach świata.

W okresie przedwojennym USA, W. Brytania, Niemcy i Japonia miały w swoich rękach 40% całego światowego obrotu towarowego, natomiast w światowym eksporcie gotowych towarów przemysłowych USA, Anglia i Niemcy zajmowały 56% (w roku 1929) albo 52% (w roku 1936). Pierwsza wojna światowa, wzmacniając gospodarczo USA, osłabiła nie tylko Niemcy i Japonię, ale i Anglię. Oczywiście, każdy z tych krajów w różnym stopniu. Prawdą jest, że po ostatniej wojnie, kiedy odpadł konkurent niemiecki i japoński, rola państw anglosaskich w koncercie handlowym świata stała się szczególnie mocna. Ale Anglia w tym zespole odchodzi na drugi plan, ustępując zdecydowanie USA i nie podejmując walki konkurencyjnej z nowym eksporterem towarów przemysłowych — Kanadą.

Wielkim planom eksportowym USA i Anglii, które dla jednego i drugiego kraju oznaczają konieczność życiową (u każdego jednak z nich płynącą z różnych przyczyn), przeciwstawił się zwężony w wyniku wojny rynek światowy. **Zniszczona Europa jest słabym płatnikiem i wiele z pośród krajów kontynentu europejskiego w trosce o zachowanie tak krwawo odzyskanej niepodległości i politycznej i gospodarczej ostro przeciwstawia się każdej próbie osłabienia ich suwerenności gospodarczej czy to drogą kredytowanego importu czy drogą pożyczek dolarowych.** Sytuacja dla obu głównych eksporterów świata jest szczególnie trudna. Potężne USA coraz silniej pragną uzależnić W. Brytanię od swoich poczynań gospodarczych. **W Anglii dojrzewa zrozumienie naglącej potrzeby porozumienia z krajami demokracji ludowej i z ZSRR.** Widzimy wyraźne w tym kierunku kroki. **Odważne postawienie w tej mierze kropki nad „i" powinno przyśpieszyć stabilizację równowagi gospodarczej i W. Brytanii i świata.**

Na razie warto zastanowić się jeszcze, jakie są perspektywy konkurencyjnej walki o rynki światowe pomiędzy USA i Anglią.

Przewaga USA, jak już wyżej podawaliśmy, polega przede wszystkim na tym, że dysponują one ogromnym, doskonale wyposażonym technicznie i koncentrycznie zorganizowanym aparatem przemysłowym, dostosowanym specjalnie do masowej produkcji.

Drugim elementem, składającym się na przewagę USA, jest specyficzna struktura ich przemysłowego eksportu. Wysoki udział w tym eksporcie mają najnowsze urządzenia, maszyny i środki transportowe, które są bardzo potrzebne dla odbudowujących się lub rozwijających się państw o typie rolniczym, albo typie mieszanym. Taki eksport może liczyć znacznie szybciej na zbyt niż eksport angielski, w którym duży udział mają przedmioty o charakterze konsumcyjnym.

(Ciąg dalszy na str. 5-ej).

Stanisław Czernik

W zielonej szkole

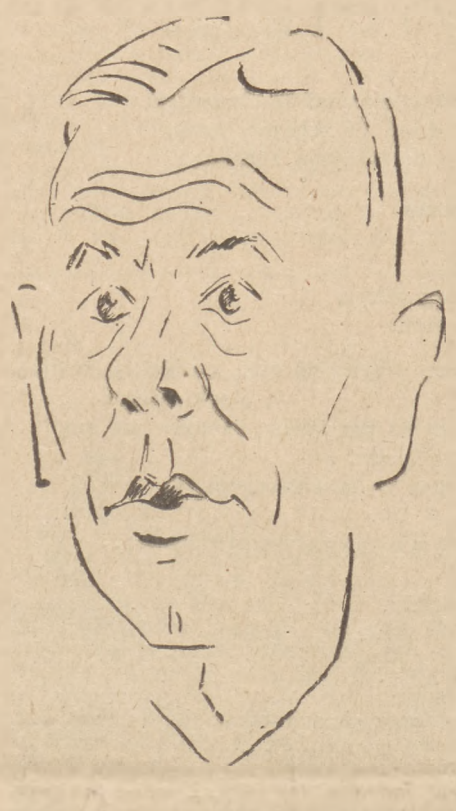

Stanisław Czernik

rys. Kazimierz Muszyński

1.

Od chwiejnych kroków pierwszych
Uczyli chłopców mądrzy czarodzieje
W zielonej szkole:
Jak ważne jest polskie pole,
Jak z pola powstają dzieje,
Jak mało dziejom ojczyzny.

Przez łany młodego owsa
Szła lekcja wiosennie rośna
Ku pagórkowi pod niebem.
Tam wzgórze po przez wierzb siedem
Śmigami kołowacieje:
Gorący w burzy i wiatrach
Miele odwieczną nadzieję
Podniebny polski wiatrak.

Ojcowskiej wiedzy młynarze
Śmig górnych białoksiężnicy,
Uczyli marzeń
Śpiewnych i miękkich, jak łabądź i łąka:
Niech rośnie codzienna mąka
Dla braci i ojcowizny,
Dla całej okolicy.

Ta lekcja śmig czarodziejska
Ludową mądrość przeliczy
W narodu hymn gospodarczy:
Białej mąki i czystej polszczyzny
Dla wszystkich starczy.

2.

Chodzili chłopcy - czniowie
Przestrzałem między dwa żyta
W zielonej szkoły korytarz:
Na miedzę marzycielską.
Na miedzy rosło czarodziejskie zielsko,
Co chorym wracało zdrowie.

Prawdę uczniowską, rzecz nauczycielską
Potwierdzają zajączkowie:
Nie łatwo uczyć się leczniczych czarów.
Znaleziony we krwi pod rosą,
Szaraczek przecięty kosą
Nie wyzdrowiał od zielnych wywarów.

Lecz dziwów lekarskich miedza,
Jak tajna kusiła wiedza,
Szukajcie, znajdziecie parów,
W parowie cudowne zielsko.

Uczyli długo mądrzy czarodzieje
W zielonej szkole lekarskiej polszczyzny,
Aż ją poznali uparci uczniowie:
Szukajmy — jest takie ziele,
Przez które świat wyzdrowieje,
Nabierze takiej zdrowizny,
Jak samo zdrowie.

3.

Chłopcy zielonej szkoły,
Którzy leczyli zajączka
Wyrwanego spomiędzy kos,
W innym bohaterstw dniu
Uczyli się walczyć przeciw złu,
I szli z bronią w rączkach
Na twierdzę os.

W kolczaste jeżyn pułapki,
Jak w zasięg wojennych drutów,
Ku osim zamkom z popielatej papki
Darł się bohater bez butów.

Na grodzisk mury podziemne
W otoku stwardniałej gliny,
Na jadów ludy nikczemne
Niosły zawzięte rączyny
Żelaza ojcowskich sklutów
I ogrodowe grabki.

Ścigani kąśliwym rojem
Walczyli, jak czarodzieje.
Niezłomnie i z uporem
chwytali rany i blizny.

Uroczysk i jarów dzieje
Tę rzecz bitewną potwierdzą.
Była to lekcja walecznej polszczyzny,
Szkoła stuletnich wojen
Z szatańską twierdzą.

4.

Ze wszystkich szkół czarodziejstwa
Najmilszą była uczelnia,
Gdzie pośród wolnego zielska
Dziki rumianek zapomniał o pługu,
Od marzeń nieśmiertelniał.

Tam najsłynniejszy z alchemii,
Profesor ugór
Nauczał o skarbach ziemi.

Któż mądrość roli ogarnie?
Chyba słowiki
Wgnieżdżone w kwitnące zboże.
Niegdyś się złota palił pełen garniec
W głębinach bruzd na ugorze.

Widzieli pożar w upalne południe
Uczniowie-czarnoksiężniki.

Daremnie szukać: zapadł w mroczne studnie
Przedwiecznych pieniędzy kocioł.

Potem pług alchemiczny ugór w bruzdy pociął
I skarb odnaleźć było coraz trudniej.
Lecz coś zostało: w podziemiach lub chmurach.

Poznali chłopcy ugorem uczeni,
Kiedy następnej jesieni
Najwspanialszy cukrowy burak
W miejscu złotego rozwalił się kotła

5.

Gdy się widziało potem tyle
Wojennych i zamorskich szkół,
I uniwersytet siwizny,
I akademię na mogile,
Trzeba powiedzieć bo czas już:
W najlepszej szkole polszczyzny
Było jej tylko pół.

Znikała wciąż, jak złota kocioł,
Jak nieuchwytne widmo ziół,
Burakiem stała się lub kłocią
I uciekła z ojcowizny.

I wciąż nie było dla niej szkół,
Ktoś zawsze ją na części pociął,
Cząstkami kryła się przy miedzy
W ugorów zapadała dół.
Nigdy jej wiedza, wciąż pół wiedzy,
Kładzione jak świąteczny stół.

Niechże powiedzą uczniom czarodzieje,
Że rzecz półmroku na zawsze odbiegła,
Że pełna szkoła wreszcie ich utrudzi,
I zaczną się polszczyzny dzieje
Nie wśród dziczyzny zbierać, lecz wśród ludzi.

PIERWSZE 3 LATA REFORMY ROLNEJ
W PUBLICYSTYCE „WSI"

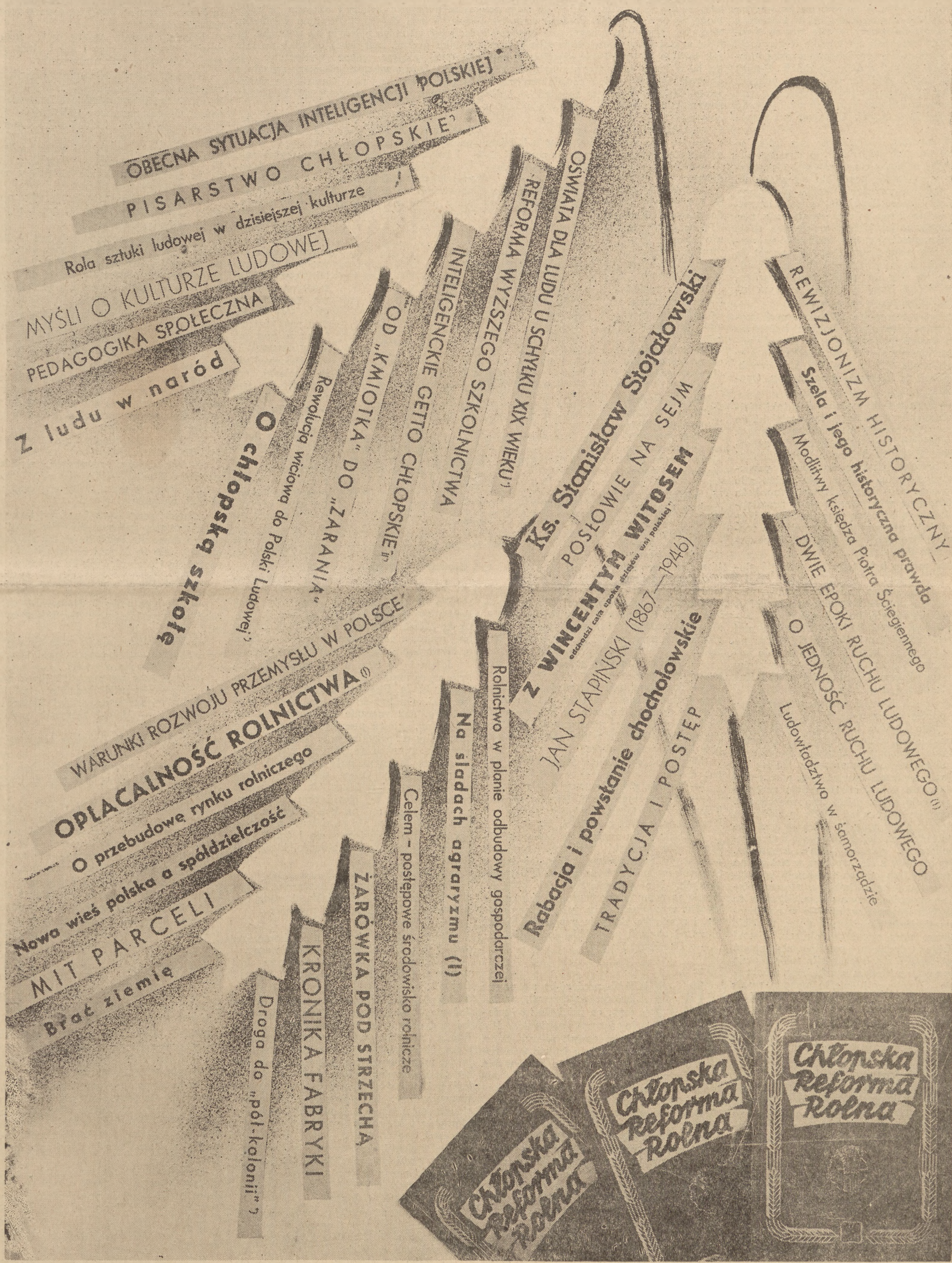

Józef Morton

Klucz Bożej Klamentyny

I.

KLAMENTYNA, malutka jak grzybek, ale jeszcze czerstwa kobiecina, mieszkała w pobliżu. Utrzymywała ją łaska dworska i wsiowska. Hrabina przepadała za jej kluczem, toteż dość często Klamentyna przynosiła z pańskich śpichrzy jakiś ochłap pod zapaską, w ukryciu przed zazdrosnym okiem sąsiadów, resztę zdobywała u gospodarzy, którym wysługiwała się we wszystkim. Żądali klucza, klucz był w robocie, a wzywali ją do roboty — szła, acz co chwila wtedy narzekała na łupanie w krzyżach. I tak samiutkiej, z rozdrobnioną łaską ludzką, żyło się jej z dnia na dzień. Domek miała równie maleńki co i ona, pokryty zieloną od mchu strzechą, wciśnięty pod przykop, w którego krzakach od świtu do wieczora darła się wróbla, swarliwa muzyka.

W zasadzie Klamentyna nie lubiła ze swoim kluczem wędrować po chatach, ale wszystko zależało kto ją wzywał. Gospodarzom w pokłonie pochylała się nisko do nóg, nad równymi sobie unosiła głowę wysoko, bunicznie. Przyjęcie na wsi Klamentyna miała różne. Jedni wyraźnie z niej pokpiwali, z jej klucza urządzając sobie głośne prześmiechy, lecz większość patrzyła na nią łaskawym okiem, ba, nawet ją poważała, do jej wróżbiarskich praktyk odnosząc się jak do religijnego obrządku, który wiązał Boga z ludźmi, by tym ludziom służyć swoją bożą zaradą.

Przy pomocy sobie tylko znanych modlitw móc rozmawiać z Bogiem, być przez niego zawsze wysłuchanym, na co były widoczne dowody — to była wielka cnota w oczach wielu. Co do praktyk kluczowych, to objawił je Klamentynie sam Bóg. Opowiadała:

— Przyszedł do mnie we śnie taki wielki, wielgachny Pan Bóg, brodę miał aż do ziemi. Ale twarzy nie mogłam zobaczyć. No, wiadomo, boża gębusia nie dla śmiertelnika. Kiedy stanął nade mną, podniósł klucz wysoko, wysoko do góry i powiedział gromowym głosem, aże zadzwoniło całe niebo: „Oto daję ci, Klamentyno, boża kobieto, moc wykrywania zła i przestępków ludzkich, które są jako ten kąkol. Wyrywaj je, Klamentyno, i każ palić na rozstajnych drogach". — Tak mi ci powiedział sam Jezusiczek...

Czy można było tedy nie wierzyć głosowi jej klucza?

— Boża kobieta ta Klamentyna — mawiano tu i tam — Bóg się jej ukazał? A może i ukazał się, bo jak ona żyje? Niczem święta pustelnica! Uświadczysz u niej chłopa? Bogać tam! Zadaje się z kim po próżnicy? A jej klucz? Na książce do nabożeństwa i na różańcu wisi — i miałoby to co wspólnego ze śtuką diabelską? Kuglarstwem?

Ale przecie Klamentyna nie odrazu przyszła do tej wiary u ludzi, jak nie odrazu i do tego klucza, bo żywot świątobliwy prowadziła od samego początku jak tylko pokazała się we wsi. Przybyła skądś z za gór, sama, biedna, schorowana. Tu się zatrzymała na dzień, tam na dwa, potem wynajęła sobie dom i od tego dnia zmieniło się jej całe życie, jakby kto zaczarował. Od najdawniejszych lat gryzła ją bieda, to też dobrze znała sposoby żebrania a zdobywania łaski ludzkiej. Najlepszym z nich była pobożność, głośna, jawna, krzykliwa. Zrosła się tedy z nią, wpiła ją w siebie i na nowym miejscu odrazu zajaśniała wszystkimi cnotami bożej kobiety, niczem miesiąc na wygwieżdżonym niebie. Bywało, że i krzyżem legiwała w kościele w nadmiernym uniesieniu religijnym, a raz, u siebie w domu, przy otwartych oknach, niemal na widoku ludzkim, popróbowała nawet samobiczować się. Sporządziła sobie pletnię z powroza, na którym pasała kozę, rozebrała się do połowy i dalejże smagać swoje grzeszne ciało! Ale dobrze przy tym miarkowała, kto też będzie ją podpatrywał. Obiecywała sobie z tego dużą chwałę a zyski, ale nie miała jakoś szczęścia. Nikt jej na tym samobiczowaniu nie przyłapał, toteż więcej się już ono nie powtórzyło.

— Nijak to robić przy ludziach, a tak, w komorze, po cóż to?

Ale leżenie krzyżem, choćby na samym środku kościoła wypełnionego ludźmi po brzegi, gustowało jej. Ludziska potem łaskawym okiem spozierali na nią, byli hojniejsi. A o to przecie chodziło!

W końcu przyszedł klucz. Dobrze za niego zapłaciła. Do dzisiaj jeszcze pamięta tę zapłatę, ale jak ma nie pamiętać słodkich chwil w cierniowym swoim żywocie? Przeklętnik tylko, dziadowski Rocho, o tym zapomniał na śmierć, ona do ostatnich dni swoich będzie chować w sercu i Rocha i klucz, jakim ją obdarzył. Piękny, dziadowski Rocho!

Kiedy zawitała do niej matka Michała, Klamentyna wiedziała już, co ją tutaj sprowadza. Donieśli jej o tym sąsiedzi. Jak wypadało, podrepciła parę kroków naprzeciw gościa i z posmutniałą naraz twarzą poczęła mówić:

— Wiem już, wiem, droga gospodyni, co wam się przydarzyło. Okradli was — powiedziała tonem tajemniczym, jakby o tym wydarzeniu doniosły jej nadziemskie siły, — ale — mówiła dalej — ja wam pomogę wykryć złodzieja. Pomogę wam, siostro, bo Bóg mi przykazał nie opuszczać ludzi w złej doli. Opowiedźcie mi najpierw, jak to było — i nareszcie ożywiła się kapkę, bo w kącie, koło nóg przybyłej Magdy, dojrzała koszyk — Ino chciałabym was o jedno, Magdo, przedtem zapytać — i dopowiedziała poufnie — Dawnoście byli u spowiedzi?

— Cóż wam tak po tym?

— Bo mój klucz mówi prawdę ludziom pobożnym. Hereźnikowi nic nie powie.

— To się nie boję. Byłam przed tygodniem.

— No, no, no! — w głosie Klamentyny był podziw. — Opowiadajcie teraz Magdo, mówcie od początku.

Po ostatnim słowie Magdy Klamentyna uniosła oczy do góry jak w zachwyceniu:

Czy to swój? Klucz nam powie. Co zrobicie, Magdo, ze złodziejem?

Swojego wyrzucę na drogę, do obcego pójdę z policją.

Koszyk, wypełniony po wręby, Klamentyna miała bez przerwy na oczach, ale kiedy Magda podniosła go i podeszła z nim do stołu, udała, że go dopiero spostrzegła.

— Magdo, niepotrzebnie przyszliście z koszykiem. Ja i bez darów chcę ludziom służyć. O, to garniec kaszy? Jaka bieluśka! Tu, we wsiście robili? Galanta! Będę miała po ździebku przez tydzień. Do tego jakby tak z główkę kapusty, miałabym prawdziwe wesele.

— Dobrze, Klamentyno, dostaniecie kapusty ode mnie.

— Nie szkodujcie się, bo ja i bez tego chcę służyć ludziom. Ale jak już zamiarujecie mi przysłać kapustę, to Bóg wam zapłać. Chociaż lepiej nie przysyłajcie. Poco się wam trudzić? Ja pójdę sama w wasze pole i wytnę se. Dobrze?

Magda odpowiedziała jakoś sucho, obco:

— Dobrze, ale pole nasze daleko.

— Zdrowe mam nogi, Magdo, zdrowe. Zbierajmy się teraz, bo każda chwila od Boga dana, to droga chwila, Magdo.

I Klamentyna zaczęła się szykować do drogi. Ze skrzynki wydobyła najpierw książkę do nabożeństwa, dużą, czarną, o startych mocno brzegach a rogach postrzępionych. Nie potrzebowała jej obwijać. Nosiła ją przez wieś zawsze na widoku. Za książką wyciągnęła dużą, już połataną chustę, i zamknęła skrzynię napowrót, kładąc klucz od skrzyni na okładzinie książki.

— Chodźmy, Magdo!

II.

MICHAŁ prędzej-by się nagłej śmierci spodziewał, aniżeli tego, co już było i co miało jeszcze nastąpić. Nie przypuszczał nigdy, że z tym żytem będzie tyle rumoru! Klamentyna! Jakże on mógł wybić sobie ją z głowy? Przecie przed nią jeszcze nic się nie ukryło. I miałaby nie wskazać teraz złodzieja matusinego żyta?

Oczy obrócił w słup i oślepł. ogłuchł na wszystko. Bo o czym tu teraz przemyśliwać? Czym się zajmować? Przecie matusia jak nic wypędzą go sobaczo, przeklną, a może jeszcze i do policji oddadzą? W zeszłym roku stary Bugaj wydał swojego syna policji, bo go stale okradał, to wyda i Michała matusia. Wyda, jak nic!

Z tych gorzkich beznadziejnie zadum wyrwał go naraz matusin głos:

— Co tak kipisz! Przywołaj mi tu Jagnę i Franka!

Klamentyna, odkładając na bok przyniesioną książkę oraz klucz, złożyła ręce i z napół przymkniętymi oczami wymrukiwała jakieś słowa do siebie. Wtem powiedziała:

— Magdo, pomódlmy się do Boga, żeby nam pobłogosławił. W imię Ojca i Syna...

Magda powtarzała przejęta zbliżającymi się wydarzeniami, surowym spojrzeniem mierząc wchodzących. Po pacierzu Klamentyna podniosła księgę i okręciła ją zdjętym ze szyi dużym, kościanym różańcem. Krzyżyk od niego położyła na wierzchu, na środku grubej, masywnej okładki, na tym samym miejscu, gdzie wytłoczony był krzyż. Jedno zakrąże różańca zwisało z książki wolno i na nim Klamentyna zawiesiła klucz, poczem zwróciła się do Magdy pokornie:

— Podajcie mi rękę, Magdo. Tak, dobrze, niech książka leży tak, na waszych palcach, tak, jak i na moich.

I książka zawisła na palcach dwóch rąk.

— Mówcie teraz wszyscy za mną. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... — i niechcąco popatrzyła na Michała. Michał, jak chlaśnięty przez plecy, skulił się, poty wystąpiły mu na ciało i począł drżeć.

— Mój Boże, mój Boże, co się ze mną stanie! O, pocóżem to zrobił, poco! Klamentyna wyraźnie patrzy na mnie. Czy nie lepiej paść matusi teraz do nóg, może-by darowali?

— Jezusie, Królu niebieski, coś cierpiał za nas rany na krzyżu — mówiła cichawym głosem Klamentyna, spojrzenie swoje ześrodkowując na krzyżyku — daruj nam nasze grzechy i błagamy Cię, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, nie odmawiaj nam swojej boskiej pomocy.

— Najświętsza Panienko, piastunko Boskiej Dzieciny, stań i ty przy swoim syneczku i popatrz na nas, którzy się do Ciebie uciekamy. Przybądźcie ku naszej pomocy, nie opuszczajcie nas, o, Jezu, o, Mario bez zmazy pierworodnej poczęta.

Jagna i jej Franio byli spokojni. Ona była wyrośnięta, szeroka w biodrach, na twarzy blada. Ręce miała grube, zdatne do harówki. On był do niczego. Twarz miał malutką, nos wiecznie czerwony, jak zasmarkany, głowa przechylała mu się na bok, niby u przygłuchego. Gdzie go postawiono, stamtąd się mógł nie ruszać wcale. Ale za Jagną na noże by poszedł, ciąłby na odsiepkę. Oboje wierzyli w różne gusła, wierzyli i w klucz. Ta wiara widać obdarza ich w tej chwili tym spokojem, z jakim spodziewali na kabłąk klucza. Bez woli Boga jeszcze nic się nikomu nie przydarzyło, nie przydarzy się i teraz, ale drgnęli czegoś oboje raptownie, kiedy posłyszeli:

— Czy to Pieter was?

Jagnę przejął wyraźnie strach. I tego strachu nie mogła już z siebie strząsnąć. A Klamentyna stawiała dalej pytania:

— A może Bania?

Klucz zwisał ciężko, nieruchomo, na swój kabłączek ściągając wszystkie oczy.

— Skóra? — pytała Klamentyna bez przerwy — Gil od rzeki? Klimek? Suwoj? Doroz?

Magda nie dostrzegała całego klucza. Jedynie dolne zakole kabłąka podpadało jej pod oczy i to jej wystarczało. Długa litania nazwisk wypowiadanych podniosłym, iście księdzowskim głosem, zmęczyła ją, ręka zaczynała jej już cierpnąć. Na szczęście obrządek wróżby zbliżał się już ku końcowi, wymienieni już zostali prawie wszyscy obcy. Przy imieniu Michała zacisnęła mocno wargi i odchyliła odrobinę głowę do tyłu, chcąc przyjrzeć się lepiej kluczowi.

— Przekręci się?

Oczy przy tym zapaliły się jej jasnymi błyskami i naraz ucieszyła się:

— Dobre dziecko z Michała. Ino niepotrzebnie obstaje za Jagną...

Klucz nieruchomością swoją zaczynał już wyczerpywać siły i uwagę zebranych, a Klamentyna po Michale znów sięgnęła do dwóch obcych nazwisk.

— Ręka mi cierpnie — przelękła się Magda, nieprzywykła do takiego wysiłku. a książka była duża, jej ciężar z każdą chwilą stawał się coraz okrutniejszy. — Mój Boże, dopomóż-że mi...

Józef Morton

rys. Kazimierz Muszyński

Wtem Klamentyna obróciła nieco głowę i wymówiła:

— To może ukradli ten metr Jagna i Franek, swoi?

Magda na dźwięk tych imion nagle cała drgnęła, rękę jej, omdlewającą, przeleciały ciarki i klucz, przesuwając się z jednego ziarenka różańca na następne, zachwiał się, obrócił naprzeciw młodej pary.

Klamentyna wyciągnęła dłoń ku górze ruchem groźnym, władczym.

— Po raz drugi i trzeci zapytuję, czy to Jagna i Franek, swojacy, okradli biedną wdowę z żyta?

Magda dygotała wewnętrznie jak na mrozie, chwiał się więc i drżał klucz, nieodmiennie wskazując winowajców.

Klamentyna spuściła naraz oczy i, pomagając sobie drugą ręką, położyła książkę na stole i przystąpiła do odkręcania różańca. Magda pomimo drętwoty w ręku skoczyła do córki, lecz nim jej dosięgła, Jagna już leżała u jej nóg.

— Matusiu, przysięgam wam na Trójcę Świętą i na wszystkie rany Jezusowe, że ja i mój Franek nie wzięliśmy wam żyta.

Cisnęła się do matusinych nóg, obtaczała je ramionami, matka, groźnie przegięta nad nią, wołała:

— Precz mi z oczu, złodziejko! Uciekaj, niech na ciebie nie patrzę! Ty powietrznico, ty żmijo, tak mnie rujnujesz? Za moje dobre serce? Żem cię wzięła do komory? Uciekaj, niech cię już nie widzę, ty obmierźnico!....

— Matusiu, to nie ja! Kajże ja pójdę razem z dzieckiem i chłopem jak mnie wygonicie? Na drogę, kiej dziadówka?

— Zgiń mi z oczu! I ty — strzeliła palcami w stronę Frania i Franio, co stał cały czas z otwartymi ustami kiej ogłupiały, zatrząsł się i zwiesił głowę. Jego niezgułowatość rozślimaczyła się teraz i co tu począć? Jak się tłumaczyć? Jak radzić złu? Wargi same chlipały.

— To nie my, nie zwalajcie na nas winy. To nie my....

— Wy, dziady, niezguloki, złodzieje! grzmiała Magda. — To nie wy? I macie jeszcze Boga w sercu, żeby wypierać się? Michał, na policję!

Michał hycnął łbem do góry i teraz odzyskał dawną zuchowatość. Nie grozi mu nic, to czego się bać? Śmiać mu się nawet chciało. Ale ta Jagna! Nieszczęśnica! Poruszył się i postąpił krok ku matce.

— Matusiu, nie trza policji... Niechajcie!....

— Nie trza policji? Złodziejów chcesz mieć w gospodarstwie? Orędujesz za nimi?

— Nie orędują, ale to może nie Jagna? — i zaigrał mu w oczach lekki uśmiech. — A jak klucz się pomylił?

— Co, klucz się pomylił? Przez niego sam Bóg przemówił! Rozumiesz ty? Sam Bóg! Idź mi zaraz na policję! Idziesz?

— Nie! — Michał zaczynał podnosić głos.

— Nie idziesz? To zaraz sama se poradzę!

Naraz skoczył przed nią Michał. Rozczapierzył ręce, głowę wysunął do przodu i zawołał:

— Kaj idziecie? Wyrzucać Jagnę? Kiedy to nie Jagna skradła wam metr żyta! To nie Jagna! Jam go wyniósł na odpust, na odpust, miarkujecie? Wczoraj wieczorem go sprzedałem... — aże sapał, w piersiach mu grało nikiej w miechu.

Matusię na to zaparło, wstrzymała dech i naraz jak nie gwiźnie Michała w samą gębę. Starawą już była, nie raz ostatnio w czasie żniw nie uwijała się już tak jak dawniej, ale teraz, tutaj, czuła się taka silna, że pięciu chłopom dałaby radę, cóż dopiero takiemu sraluchowi, jak Michał. Jak śmie brać na siebie winę! Orędownik ladaco!

— Złodziejów chronisz? Chcesz, żeby mnie do imentu zmarnili? — i wypadła razem z szumnym furkotem kiecki.

Michał, tuląc dłoń do zaczerwienionego policzka, zwrócił się do Jagny.

— Idźta się i brońta, bo matusia powyrzucają wam rzeczy na drogę.

Klamentyna, jak przystało na bożą osobę, siedziała przy stole głucha na krzyki i wstrząsy i spokojnie odmawiała litanię z książki. Po chwili wstała, klucz wsunęła do spódnicy i z książką pod pachą rozglądnęła się dookoła. Mruknęła do siebie:

— Szkoda, że nie ma Magdy, bo powiedziałabym jej o garść słomy do łóżka. Teraz trza specjalnie przychodzić. No, nic. Przyjdę... — i skierowała swą malutką, jabłkowatą twarz do Michała — Ostaj z Bogiem. A pamiętaj, nigdy mi złodziejów nie broń!...

Zadyndał jej różaniec na piersi, zapaliły się oczy migotem złym, chciwym i podeszła do drzwi.

Michał patrzył na nią i gniótł w sobie jakieś słowa, rozcierał je w zębach.

Józef Bieniek

R O Ż N Ó W

SZLAKIEM WSPOMNIEŃ

Droga Nowy Sącz — Rożnów należy bezsprzecznie do najpiękniejszych w Polsce. Jej biało-szary szlak wężowymi rzutami skacze swawolnie i uroczo po zboczach i wierzchołkach licznych wzgórz stanowiących brzegi rożnowskiego jeziora. Po gładkiej nawierzchni mknie motor spokojnie i bez epileptycznych wstrząsów. Jest rozpalone dopołudnie sierpniowej soboty. Z płaskich uprawnych zboczy zgania wiatr w dolinę drogi upojny zapach rozgrzanego kwiecia koniczyny. Cicho, spokojnie, pięknie.

Rożnów — generator

Ale oto z nadbiegającej przestrzeni występują raz po raz obiekty tragicznych wspomnień — kiedy się oko zetknie z nimi nagły niepokój rozwala dobrotliwą ciszę zapomnienia, szarpiąc wciąż jeszcze ostrym i żywym smakiem doznanego kiedyś bólu. Więc pierwszy zaraz za miastem żydowski cmentarz — miejsce wielokrotnej kaźni. Tu w początkowych latach niewoli, świtami, w blasku nadchodzącego dnia odchodzili gasnąc na wieki najlepsi synowie sądeczyzny. Zapadali w ostatni sen, żegnani chłodnym dotykiem rośnych świtów, a łoskot salw budził miasto wplecione w bolesne dni trwożnej męki wyczekiwania.

Nieco dalej, u stóp rdziostowskiego wzniesienia, obok zielonej krechy zarośli dzielących naddunajcowe błonia, bieleją wysokie ramiona krzyża. To samo. Miejsce wielokrotnych egzekucyj — mogiła kilkuset nieznanych żołnierzy podziemia. To tam w lipcu 1944 r. płakałem zgrzytając zębami z wściekłej rozpaczy, stojąc na brzegu olbrzymiego dołu, gdzie w krwawej kałuży kłębiły się ciała wyciągając ponad czerwień wody skute łańcuchami ręce i nagie plecy zczerniałe od bicia, pocięte pręgami długich blizn. Między nimi leżał najbliższy współpracownik i najdroższy kolega, nieustraszony żołnierz BCH Kazik Mółka.

A oto znów Lipie — obóz żydowski. Cierpiało w nim, budując drogę, którą jadę, kilkuset młodych Żydów z Sącza i Tarnowa. Wszystkich ich po ukończeniu robót rozstrzelano gdzieś koło Limanowej. Tu podając koledze Żydowi pakunek z żywnością po raz pierwszy zapoznałem się z niemiecką pięścią.

Gdzieś w połowie drogi wypada nagle z poza wierzchołka powiewającego czupryną świerków gorący błękit jeziora — jakby niebo upadło i legło na dnie doliny, w zielonych objęciach pól i wzgórz. Poprzez miarowy rytm motoru przedziera się głęboki i chłodny szum — to oddech wód rozkołysanych lekko giętkimi podmuchami wiaternych skrzydeł.

SIC TRANSIT GLORIA... GERMANIAE

Jeszcze jeden „szwung" i zadyszany „Ardie" staje na stoku Wiesiółki — ostatniego wzgórza, skąd już do zapory niedaleko. Widok wspaniały. Olbrzymia tafla jeziora lśni w popołudniowym słońcu jakby płonęła cała. Leciuchno błękitny dym sreżogi unosi się nad wodnym paleniskiem, zatapiając na horyzoncie całą dal. W sinawej mgle rysują się ledwo dostrzegalnymi konturami osiedla, kudłate wzgórza Beskidów i hen w końcu kłujące niebo kolce Tatr.

Obok w rowie niebieszczą się szczątki pancernego auta, z tak ongiś groźnym napisem „Pol" I znów napływa fala wspomnień. To przecież tu w roku 1944 jeden z naszych oddziałów pod dowództwem „Topora" rozbił grupę żandarmerii, kładąc trupem jej dowódcę, osławionego pana na Rożnowie i przemożnego kata tutejszych okolic Regelmeera.

To tu na Wiesiółce i na Ostrej, leżącej po drugiej stronie Dunajca, kwaterowały oddziały partyzanckie, strzegąc pod bokiem niemieckiej załogi całości zapory. W dużej mierze ich to właśnie zasługa, że urządzenia elektrowni nie zostały rozmontowane i wywiezione, przez co już w dwadzieścia cztery godziny po zajęciu Rożnowa przez Wojska Radzieckie mogła elektrownia rozpocząć częściową produkcję prądu.

Niebieszczące się w zieleni traw szczątki kibitki grozy i tamte wody w dolinie, to symbol rozbitej mocy przemyślnego zła i narastającej siły sprawiedliwego ładu.

ZAMKI DWÓCH RYCERZY

Wysoko nad wodą, w sosnowej otoczy, stoją ruiny prastarego zamku, sławnego ongiś rycerza Zawiszy Czarnego. Na niedostępnym brzegu usadowił swój gród rycerz - strateg, aby tu w wąskiej gardzieli dunajcowego przełomu strzegł drogi wodnej i nie dopuścił wrażych hord w głąb kraju. Dziś z tamtych czasów historia, a ż zamku ruiny. Poprzez dziurawe ściany przelewa się błękit, a w okienny otwór wsunęła ramię konaru wcibska sosna. Na jej gałęzi samotny ptak wygłasza monotonną melodię — niby historię rozsypującego się w proch pomnika tamtych czasów.

Z dołu, od niewidzialnej jeszcze zapory dochodzi szum głęboki i potężny, niby łoskot olbrzymiego wodospadu. To mowa historii nowoczesnej. Tak śpiewają turbiny, którymi ufortyfikowany jest ten drugi zamek, potężny, żelbetonowy pomnik genialnej myśli człowieka, wyrzeźbiony trudem tysięcy rąk, motorów i maszyn. Zamek dobroczynnego rycerza postępu i techniki inż. Śliwińskiego.

„DUNAJCOSTROJ"

Rozparła się zapora w wąskim przesmyku, między dwoma wzgórzami, na których kiedyś — jak głosi legenda — olbrzymy stojąc podawali sobie siekierki. Stoi zapora naprzeciw zuchwałym hordom wód Dunajca, broniąc, jak ongiś Zawiszów gród, dalsze połacie kraju przed zalewem wrażego żywiołu — powodzi.

Rozpoczęto budowę tego, jak to nie bez dumy powiedział oprowadzający mnie technik — „Dunajcostroju" w roku 1935. Do września 1939 r. wykonano jej podłoże i fundamenty oraz sprowadzono turbiny, wykonane według planów inżynierów polskich w fabrykach i odlewniach niemieckich. Po klęsce wrześniowej budowę zapory przejęli Niemcy. Ze zwykłym sobie rozmachem, spędziwszy potężną armię robotników, sztab inżynierów i olbrzymi tabor konno-motorowy — prowadzili prace w tempie tak szybkim, że już w roku 1941 zapora była gotowa.

Na jej budowę oraz na zastrzyki zabezpieczające i umacniające zbocza podtrzymujących ją wzgórz zużyto około milion worków cementu. Długość zapory wynosi 550 m., wysokość 32 m., głębokość fundamentów 17 m. Ta masa betonu i stali trzyma w ryzach wody jeziora długiego 23 kl. o ogólnej powierzchni 1750 ha, przy czym średnia głębokość sięga do 25 m, zaś ogólna pojemność jeziora obliczona jest na 228 milionów m³ wody.

Nie wtajemniczonym widok zapory nasuwa przypuszczenie jakoby był to jakiś potworny blok zwalonego na kupę betonu. Tym czasem jest to właściwie wielka skorupa, kryjąca w swym wnętrzu cudownie skomplikowane urządzenia, jak przepławka dla łososi, w środku turbozespół wytwarzający energię elektryczną i wkońcu przelewy dla regulacji wody.

Turbin jest cztery. Cztery dobre i pracowite siostry, dzięki którym tysiące ludzi posiada światło, a setki zakładów przemysłowych tanią siłę popędową. Każda z turbin o mocy 17.000 KM zdolną jest przy maksymalnym wysiłku wytworzyć 15.000 kilowat prądu na godzinę. Normalnie wytwarzają 12.500 kilowat.

Dla poruszenia każdej z turbin potrzeba 50 m³ wody na sekundę. Jest to jednakże za wielka ilość jak na dunajcowe możliwości, toteż zaledwie wiosną po roztopach lub wielkich opadach deszczowych mogą pracować wszystkie turbiny naraz. W okresach surowych zim, czy letnich posuch czynne są tylko dwie turbiny i to z przerwami.

Niżej zapory stoi dziwaczny, o urzekającej symetrii las masztów i konstrukcji oplecionych siecią kabli. To rodzielnia. Stąd linią wysokiego napięcia wędruje prąd do Mościc, a stamtąd w ilości 150 tys. kilowat na Starachowice i do Warszawy oraz w ilości 110 tys. kilowat na Śląsk.

Brak specjalnych urządzeń i transformatorów nie pozwala na bezpośrednią wysyłkę prądu. Nawet pobliskie miejscowości jak Nowy Sącz, Limanowa, Zakopane, Rabka i Glinnik Mariampolski muszą korzystać z pośrednictwa Mościc.

ŁOSOSIA GOLGOTA

Na jednym końcu bloku zapory znajdują się t. zw. przelewy — kilka otworów zamykanych automatycznymi zasuwami, którymi reguluje się stan wód na jeziorze i na dalszym biegu rzeki. Zaś u drugiego końca urządzona jest przepławka dla ryb chcących się przedostać z jeziora na rzekę i na odwrót. Przepławkę stanowi wielokrotny zygzak kanału, tarasami wznoszący się z dna rzeki, poprzez zaporę, aż do poziomu wód jeziora. Tędy szlachetny szczep łososi wędruje rok rocznie szlakiem swych rybich i biologicznych tęsknot hen z Bałtyku, Wisłą, aż w górskie partie Dunajca, w Pieniny. Tam składa ikrę, rozmnaża się i podrasta a potem wraca ku morzu, aby znów, gdy poczuje wołanie „krwi" prawieczny zew instynktu rozrodczego piąć się poprzez tysiączne niebezpieczeństwa w górę rzeki, w pienińskie zacisza, gdzie znajduje się jedyny rezerwat łososich godów — tarła i mnożenia się, łososie łoże małżeńskie, kolebka i „rodzinny dom".

Wspaniały to ma być widok, gdy potężna srebrzyście umundurowana armia pokonywując nieufność względem dzieła rąk ludzkich pnie się lub opuszcza poprzez kataraky przepławki na drogi swych rybich przeznaczeń.

BĘDZIE ICH WIĘCEJ...

Taki jest Rożnów. Piętnaście lat temu o jego istnieniu wiedział tylko nowosądecki Urząd Skarbowy—dziś nazwa ta znana jest w całej Polsce i Europie, jako symbol żywej prężności i rozpoczynającej się ekspansji polskiej myśli technicznej.

Mimo wszystko jednak sam Rożnów nie będzie w stanie podołać potrzebom i wymaganiom czasów, które nadchodzą niosąc sztandar pełnej mechanizacji i technizacji życia polskiego. Sam zresztą nie wyczerpie olbrzymich możliwości wartkich wód Dunajca, które dopiero wprzągnięte w jarzmo kilku turbozespołów mogą dać krajowi potężne złoża sił energetycznych, a co za tym idzie wpłynąć na szybki rozwój elektryfikacji i uprzemysłowienia ziem RP. W tym właśnie celu projektuje się i prowadzi — poza Rożnowem — budowę jeszcze i innych zaporo kompleksów, jak w Pęchrach koło Czchowa, kilkanaście km niżej Rożnowa, gdzie prace posunięte są już dosyć daleko, w Jazowsku koło Łącka i w pienińskim Czorsztynie. Według obliczeń inżynierów ten dopiero zespół zapór w pełni eskploatował będzie całą potężną dynamikę porywistych wód oraz wyeliminuje z doliny Dunajca ponure i groźne widmo powodzi.

TYM TEŻ SIĘ MARTWIĄ

Wspomniane wyżej projekty i prace nie dają spokoju garstce sentymentalnych pięknoduchów, którzy pełnymi pasji artykułami starają się przekonać opinię społeczną i czynniki miarodajne jakim potwornym nonsensem i nietaktem wobec Matki - Natury byłoby spaskudzenie przyrodzonego piękna Dunajca i Pienin monstrualnymi bryłami zapor. Chodzi także o łososie, którym zapora w Czorsztynie zniszczyła by jedyne i najważniejsze rezerwaty tarła, lęgu i wychowu skazując tę piękną i smaczną rybę u nas na zagładę.

Wątpię jednak, czy owe sentymentalne tezy zwyciężą twardy interes milionów zawarty w ważkiej treści tamtych planów i dążeń. Tym bardziej, że na przekór wszystkim poetom, marzycielom i niedojdom życiem kierują żelazne prawa ekonomii i logiki.

BY RZĄD POMÓGŁ...

Wracam wieczorem. Welon mroku miękko opada nakrywając ciemnochłodną ciszą gwarliwą łunę dnia. Z doliny olbrzymie oko wód mruga ku powstającym gwiazdom, a nad zaporą zakwitły blaskiem potężne lilie żarówek.

Ale wokół Rożnowa po chatach ciemno. Tu i tam kopcą smrodliwie naftowe lampy. Małe, maleńkie — „bo kenfiny skoda". Zatrzymuję motor przed skupionym osiedlem i łażę po domach. Dlaczego mając pod nosem zaporę nie korzystacie z cudownych możliwości i nie zainstalujecie sobie elektryczności? Odpowiedź wszędzie ta sama: Brak pieniędzy. Dalej więc idzie wszystko po staremu — czarno wszędzie, głucho wszędzie — jak za Zawiszy Czarnego.

Wprawdzie setki wsi wokół Rożnowa leżących objęte zostało planem elektryfikacyjnym, wprawdzie tu i tam poczyniono już prace wstępne sporządzając plany i kosztorysy, a nawet zakupując transformatory, ale na tym, jak do dziś, koniec. Sprawa ugrzęzła w kłopotach finansowych i stanęła. Szczególnie tu na Podhalu, w krainie karłowatych gospodarek, gdzie z braku większych majątków reforma rolna nie wiele chłopu pomogła, a licha ziemia i jeszcze lichsza kultura rolna redukują dochód społeczny chłopa do norm najniższych.

Sprawę elektryfikacji tutejszych terenów komplikuje dodatkowo i w niemałym stopniu niesłychanie rozleziona struktura budowlana wsi. Brak zwartych skupisk osiedlowych, rozrzucenie gospodarstw pojedyńczo, czy choćby małymi grupkami po kilometrowych odległościach od siebie, szalenie utrudnia prace, stawiając problem całkowitego i rychłego zelektryfikowania Podhala pod dużym znakiem zapytania. Wydaje się, że tu wcześniej winna nastąpić komasacja gruntów i likwidacja „morgowych gospodarek", oraz zakaz dzielenia gruntów i budowania nor podobnych psim budom, a będących „mieszkaniami."

Koszta zelektryfikowania jednostki gospodarczej wynoszą dziś od 40 do 60 tysięcy złotych. Na taki zaś wydatek tutejszy dwumorgowiec, a takich mamy najwięcej, pozwolić sobie nie może. Mimo najszczerszych chęci i ogólnego zrozumienia.

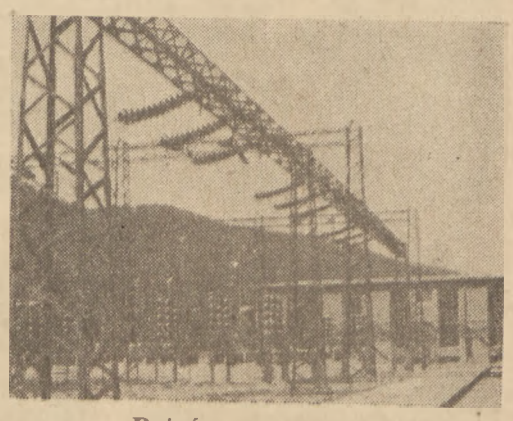

Rożnów — rozdzielnia

By Rząd pomógł... — mówią z nadzieją w głosie wszyscy. Niestety, Rząd nie może wszystkiego naraz zrobić, tym bardziej, że w hierarchii potrzeb i zniszczeń powojennych elektryfikacja dalekich wioszczyn najważniejszą nie jest. Sprawy tej rozwiązać nie może w tej chwili również ani samorząd notorycznie deficytowy, ani spółdzielczość też uboga i słabo jeszcze rozwinięta. Dlatego to w zasięgu rożnowskich łun tlą po chatach kaganki wędząc w smrodzie i cieniu chłopskie losy. Ale do czasu.

USA i Anglia w walce o rynki świata

(Dokończenie ze str. 2-ej).

Są jednak i słabe strony sprawy. Do nich zaliczyć należy wyraźnie czynny charakter bilansu handlowego Stanów Zjednoczonych AP. W latach 1920—1930 USA dwukrotnie podwyższyły opłaty wwozowe na fabrykaty europejskie i na niektóre surowce. Amerykański protekcjonizm sprzeciwiając się rozszerzeniu importu zagranicznych towarów do kraju, tym samym utrudniał w końcowym rozrachunku rozliczenia za swój eksport i pokrywanie procentów oraz dywidend z tytułu inwestowanego za granicą kapitału północno-amerykańskiego. Eksport kapitału powinien był służyć tym czynnikom, które wyrównywałyby wahania i zrywy w polityce handlowej USA.

Przewaga Anglii opiera się na ogromnej pojemności jej rynku. Więzy handlowe Anglii z szeregiem krajów są stare i silne. Kapitał angielski do ostatniej chwili kontroluje nadal ważniejsze surowce świata i część światowych dróg kolejowych i wodnych. Swoje potrzeby importowe Anglia podtrzymuje dla zachowania stałych więzi, koniecznych dla eksportu fabrykatów wielkobrytyjskich.

Drugi element przewagi W. Brytanii — to rola, jaką ona odgrywa w imperium i wśród państw bloku szterlingowego. Rozpoczynająca się po kryzysie 1930-31 r. era protekcjonizmu angielskiego miała swoje charakterystyczne cechy. Przy pomocy systemu imperialnych preferencji w systemie państw bloku szterlingowego Anglia zdołała przywrócić swoje znaczenie jako światowego centrum finansowego dla stosunkowo wąskiej bazy ekonomicznej i dla pewnej grupy państw, opierając się na podstawie — funta papierowego. Tę przewagę Anglia w pełni wygrywała w latach 1932—1938. Ona też dała wyraźne korzyści w powojennych rozmowach handlowych anglo-amerykańskich.

Elementy wyżej omówione zagrały w sposób znamienny na dynamice handlu międzynarodowego w okresie po ostatniej wojnie światowej. Pierwszy rok powojenny nie wskazywał na to, aby handel światowy stopniowo zbliżał się do norm przedwojennych. Jednolity rynek światowy jeszcze nie odrodził się. Nadal dzieli się on na szereg rynków oddzielnych, silnie izolowanych jeden od drugiego, przy czym więź istniejąca pomiędzy nimi ma charakter tylko dwustronny, a nie multilateralny. Wpływa na to szereg okoliczności, wywodzących się z sytuacji finansowej i walutowej, z sytuacji na odcinku cen itp. Wyraźną cechą pierwszego roku powojennego jest pojawienie się ostrych dysproporcji pomiędzy operacjami eksportowymi i importowymi. Z jednej strony stoją tu: USA, Kanada i kraje Ameryki Południowej, z drugiej zaś strony — państwa Europy kontynentalnej, zwłaszcza państwa, w swoim czasie okupowane przez Niemców. Pierwsza grupa — to eksporterzy, druga zaś — importerzy. **Rezultat takiego ukształtowania się sytuacji — to wzrost kredytowej zależności niektórych państw Europy na czele z W. Brytanią, od państw półkuli zachodniej a przede wszystkim od USA i Kanady.**

Handel zagraniczny państw wschodniej i południowo-wschodniej Europy znajduje się jeszcze w stadium pierwszych powojennych kroków. Tu mamy do czynienia z zasadniczą zmianą orientacji co do geograficznego układu stosunków handlowych. **Kraje te odnajdują w ZSRR szeroki rynek zbytu na swoje wyroby. Związek Radziecki z kolei jest bogatym eksporterem. Te nowe drogi są drogami obustronnie korzystnymi.** Noszą wręcz inne akcenty, niż wyżej omówione, bo nie kieruje nimi międzynarodowa finansjera i obarczony wieloma funkcjami pozagospodarczymi — dolar. Próba przeciwstawienia takiemu układowi stosunków porozumień anglo-amerykańskich w sprawie niemieckiej jest zawodna i bardzo krótkowzroczna, zwłaszcza dla W. Brytanii.

Tadeusz Orlewicz

Krystyna Swinarska i Eugeniusz Cękalski

KRĘCIMY FILM O POLSKIEJ WSI

Pomysł tego filmu powstał rok temu — bardzo daleko — w stanie Montana, na pograniczu Kanady, w Górach Skalistych. Wiedzieliśmy, że za parę tygodni pojedziemy do Polski, aby pracować w filmie. Wiedzieliśmy, że film, który mamy zrobić, musi być przede wszystkim utworem nawskroś społecznym, bo w kraju, który po klęsce wojny i okupacji przechodzi radykalną odbudowę i przebudowę, kino musi iść w służbie wspólnej sprawy. Powstała więc myśl filmu o wsi — bo polska wieś — to prawdziwy rezerwat sił, które będą decydować o przyszłości kraju. Nie znaliśmy spraw wojny i okupacji — żyjąc zdala od znękanej Europy — ale sprawy powszechne, sprawy postępu techniki i kultury codziennego życia wydawały nam się bliskie. Pomyśleliśmy więc o wiosce i nauczycielu, który do tej wsi, przez wiekową niewolę zakutej w prymityw, niesie nowe idee — oświaty, postępu i światła. Stąd sprawa elektryfikacji — jako głębokiego symbolu nadchodzących przemian i nowego, lepszego życia.

Wtedy już zarysował się nam szkic tej sprawy, którą dziś realizujemy — obrazu pełnego świateł i cieni, pełnego ludzi żywych i zwykłych, obrazu wioski Łany, którą elektryczność zamienić ma w Jasne Łany.

Po przybyciu do Polski, po wykonaniu paru krótszych prac filmowych, zabraliśmy się do studiowania tematu i do pisania scenariusza. To co wiedzieliśmy z teorii, z książek i gazet — to nam potwierdziła nasza obserwacja. Wieś, wzbogacona i wydobyta z ekonomicznej nędzy przez reformę rolną, stoi w obliczu przemian kulturalnych, które ją z prymitywu egzystencji wydźwigną.

Scenariusz był gotów, zatwierdzony do produkcji w kwietniu — w maju skompletowano zespół, w czerwcu nastąpiły pierwsze zdjęcia.

W pobliżu Łodzi znaleźliśmy na skraju powiatu łowickiego idealne tereny do zdjęć. Ekspedycja składająca się z 50 osób zamieszkała w starym zameczku Zawiszy Czarnego nad Bzurą w Sobocie i rozpoczęły się zdjęcia. Okoliczne wioski stały się terenem akcji filmu i samochody nasze z początku niechętnie przyjmowane przez chłopów i gromady gapiących się dzieciaków — stały się wkrótce częścią krajobrazu — każdy prawie chłop i kobieta w okolicy i każde prawie dziecko stali się filmowymi aktorami. A jak umieją niektórzy z nich grać! Prawdę wsi mieszaliśmy bowiem z kunsztem najlepszych aktorów — i dążąc do największego realizmu, do stylu prawdy — stawialiśmy przed aparatem każdego, kto go się nie bał, kto chciał nam pomóc. Dzieci zwłaszcza grały świetnie. Nie gra to zresztą była a życie. Bo jak u u nas w filmie — tak i tam na wsi, był zapuszczony dworek, który trzeba było odnowić. Bo i tam w sąsiednich wsiach pracowali weseli i młodzi elektrycy wkopujący słupy i włażący na nie zręcznie na słupołazach, by do transformatorów podłączyć światło i siłę niosące druty. Bo i tam niedawno jeszcze były „leśne bandy" i miały miejsce napady zbrodniczych bankrutów, bo i tam w pobliskim Głownie odkryto właśnie w piwnicy bimbrownię, a w niej broń — (całkiem jak u nas w scenariuszu).

Film jeszcze nie powstał — będzie jeszcze praca nad nim trwać parę miesięcy — ale te 10 tygodni zdjęć na wsi — była to dla nas nie tylko lekcja filmowania, ale i lekcja społeczna. Wieś była piękna, ludzie zdrowi i ładniejsi niż w mieście, — ale pięknko to pokryte było prymitywem egzystencji, dla której cywilizacja techniczna dopiero się ma zacząć. Nasze wozy obładowane aparatami i lampami z trudem mogły podołać złym, wyboistym drogom, a liche mostki nieraz trzeszczały pod nami złowrogo. W chatach i zagrodach spotykało się wiele dzieci chorych i zidiociałych — brak lekarzy i higieny, brud — to zjawiska codzienne. W miasteczku nie ma czytelni, nie ma gazet, nie ma radia — jest oczywiście stary, piękny kościół — ale poza tym ruiny z iluś tam wojen i trzy nędzne knajpy, pełne podejrzanego alkoholu. W dnie targowe chłopom przywożącym na targ prosiaka, kury, jajka, których weterynarz ani higienista nie badał — sprzedają przy straganach wstrętne kupczychy jakąś tandetę, świecidełka i liczmany — jak w odległej murzyńskiej Afryce. Nie ma kina (najbliższe o 30 km, gra 3 razy na tydzień) — nie ma imprez kulturalnych. Zabawy taneczne organizowane przez straż ogniową kończą się pijatyką, a często i strzelaniną. Wieś czeka na swego pioniera.

Widzieliśmy naocznie, jakimi drogami idzie na wsi kultura. W sąsiedniej wsi jest elektryczność, bruki, mówi się o kanalizacji. Ludzie są czyści i zdrowi. W polu pracują maszyny, w oborach są żarówki, wszędzie sieć radiowa, w stodołach motory poruszają młockarnie i sieczkarnie. Ponury prymityw konia w kieracie zanika.

Robimy ten film — bo chcielibyśmy przysłużyć się polskiej wsi i tym, którzy ją chcą naprzód pchnąć — chcielibyśmy przyczynić się aby szybciej znikały na wsiach ciemnota, brud, pijaństwo i nędza, i aby kultura wsi — była tą samą kulturą, jaka jest wszędzie w mieście i w fabryce — kulturą ogólnoludzkiego postępu. Wierzymy, że kino zdziałać może dużo — i choć w Polsce prawie jeszcze wcale nie ma kin — wierzymy, że film taki jak „Jasne Łany" powstać piwinien.

Tadzio Owczarek, 10-letni odtwórca roli wiejskiego chłopca

W OSTATNIM 34 (113) NUMERZE „WSI"

z dnia 30 sierpnia 1947 roku

Stanisław Śreniowski — Rewizjonizm historyczny; **Michał Krasocki** — Miasta będą chłopskie; **Teodor Goździkiewicz** — Rusznica królewska (fragment); **Jadwiga Limba** — Droga (wiersz); **Andrzej Skupień-Florek** — Biały Dunajec w czasie wojny (dokończenie); **Bolesław Chęciński** — Chata łowicka (poemat). **Zdzisław Skwarczyński** — Ksiądz Pleban; **Norman P. Caulfield (K. P. Nowak)** — Na przełaj przez amerykański lipiec; **Józef Wiech** — Wieś mojego ojca, Wincenty Rzepka, „Wieś" mojej żony; **Leon Sobociński:** — W sprawie artykułu „Od Kmiotka do Zarania". — 6 ilustracji. — Książki nadesłane. — Ogłoszenia. — 8 stron.

SCENY Z NOWEGO FILMU

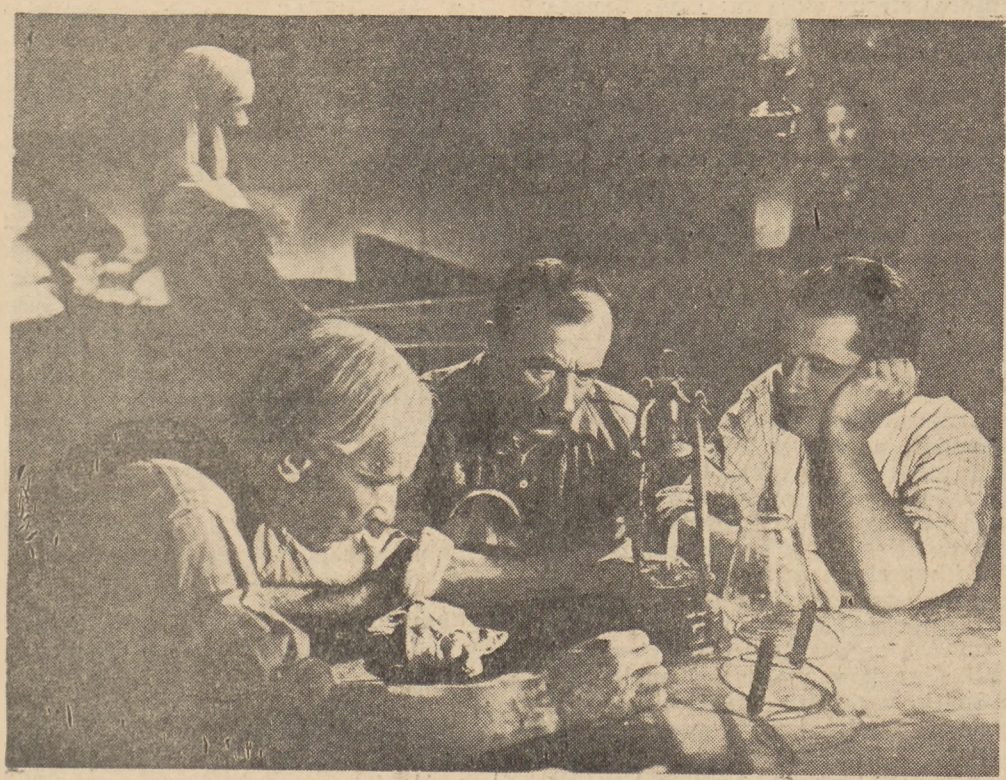

W chacie starego Gruzdy — rozmowa o świetle elektrycznym fotografował Frankfurt

Dzieci i kobieta przyglądają się pracy elektryków na słupach

KOLPORTAŻ KULTURY

USTAWIAMY DYSKUSJĘ:

Poniżej podajemy trzy wypowiedzi na temat organizacji kolportażu pism i książek na wsi.

1) Antoni Trepiński charakteryzuje proces krążenia pism i książek na wsi oraz organizacji ich sprzedaży jako podległy prawom ekonomicznym.

Idzie tu wszak o „artykuły oświaty", analogiczne do takich artykułów jak nafta, garnki, narzędzia rolnicze i t.p. Dwa w szczególności prawa wysuwa na plan pierwszy. Nierównomierne rozmieszczenie w terenie towarów. Z czego płynie dyrektywa dla księgarzy i handlarzy: przesuwać je w miejsca puste. Drugie — zainteresowanie w pewnym środowisku, w pewnej okolicy i używanie określonego asortymentu towarów daje nadzieję na tym większe nasycenie nimi tego rynku. Jest to dialektyka ekonomiczna — powiedzmy to sobie wyraźnie — właściwa dla **wolnego handlu.**

Tę metodę przeszczepić pragnie A. Trepiński na państwowe samochody — ruchome księgarnie.

2) Stanisław Paleczny przypomina wzór dawnego kolportera-społecznika, który nie rzadko dokładał z zarobków zawodu pobocznego, aby książki między ludzi wepchać chociażby na „borg". Nie dorysowuje tła społecznego, na jakim taki typ osamotnionego kolportera wyrastał. Wydaje się nam, że w zapleczu był wówczas znany ruch inteligencji pod hasłem niesienia oświaty w lud (o czym szczegółowo pisała Helena Brodowska we „Wsi"). Ruch ten poprzez te pierwsze ogniwa oświaty początkował w treści tej oświaty związek społeczny wsi z „pańskim narodem".

3) Michajłow przedstawia stan czytelnictwa na wsi radzieckiej. Mamy tutaj obraz organizacji państwowej, państwa socjalistycznego. Po kilkudziesięciu latach od czasu rewolucji październikowej w jednolitym planie gospodarczym, społecznym i kulturalnym we wsiach i kołchozach (tu najbardziej) czytelnictwo ma zapewnione państwowo, (społecznie) następujące warunki: wybór książek, duże nakłady, tania książka, biblioteka, klub, kierownik, bibliotekarz, aktyw.

W naszej rzeczywistości polskiej wszystkie trzy czynniki odgrywają pewną, wyjściową rolę. Od państwa oczekujemy jak najszybszego zrealizowania ustawy o bibliotekach gminnych, reglamentacji w planie wydawniczym, taniości książek. Ale w drodze do społecznej jednolitej i powszechnej organizacji czytelnictwa w Polsce, a zatem w drodze do państwowej w rezultacie organizacji (jak koleje, jak poczta, jak wielki przemysł i t.d.), użyć musimy sił społecznych i form organizacji odpowiadających naszej obecnej sytuacji.

I Trepiński, i Paleczny, i Michajłow wskazują na czynnik podstawowy: **zainteresowanych.** Trepiński mówi, że ci niech robią ruch czytelniczy, którzy sami czytają. Paleczny — ci co mają ideę niesienia ludowi wiedzy. Michajłow — aktyw.

Ci „zainteresowani" — dziś na wsi polskiej — zainteresowani czym? — przyszłością wsi, przyszłością Polski to są **organizacje przemian społecznych.** I na ten czynnik trzeba dziś postawić. On nie tylko formalnie chce ruchu umysłowego i estetycznego, on wnosi nowe kryteria i treści tego ruchu. Pragnęlibyśmy przedstawiając łącznie cztery propozycje (cztery drogi) organizacji czytelnictwa na wsi wywołać szeroką i gruntowną dyskusję.

Sprawa wchodzenia wsi w kulturę narodową dojrzała do momentu, w jakim nieuniknionym staje się postawić ją jako zagadnienie **socjotechniczne,** ale... właśnie ze społeczno-politycznym uwarunkowaniem.

J. A. K.

Antoni Trepiński

Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś?

W każdej wsi spotyka się sklepy spożywcze i karczmy, w każdej niemal parafii — stoiska z dewocjonaliami albo kramiki odpustowe, spotyka się różne placówki spółdzielcze i przedsiębiorstwa prywatne: młyny, piekarnie, mleczarnie, kuźnie, warsztaty stolarskie, kołodziejskie, krawieckie, nawet stacje benzynowe...

Ale żadna księgarnia na wsi utrzymać się nie może, nawet w ośrodkach liczących po kilka tysięcy mieszkańców, ba! — i w wielu miasteczkach stanowiących siedzibę starostw, sądów i szkół średnich, księgarnie pędzą niejednokrotnie suchotniczy żywot. Nie łatwo organizować rynek zbytu tam, gdzie efektywy będą zawsze mocno ograniczone. Kiepskie wyniki da najsprawniejsza organizacja skupu jaj tam, gdzie nie ma hodowli kur. I najenergiczniejsza spółdzielnia nie doczeka się rozkwitu wśród nieużytków, gdy hodowla i uprawa rolna znajdują się w stanie zupełnego zaniedbania, gdy konsument jest samowystarczalny z produkowaną przez siebie bryndzą i nie chce absolutnie niczego konsumować okrom swojej bryndzy. Trudno tedy sprzedawać książki tam, gdzie mamy do czynienia z dożywotnymi analfabetami, analfabetami powrotnymi oraz krańcowymi nędzarzami.

Ale trafić z książką na wieś — trzeba za wszelką cenę. Musi ona docierać jak najprostszą drogą do miejsc, gdzie już nie ma wrogów oświaty, gdzie obok analfabetów bytują ludzie uspołecznieni, członkowie różnych kół młodzieży, byli żołnierze, wychowankowie uniwersytetów ludowych i szkół rolniczych, samoucy, obywatele uświadomieni i myślący, spragnieni słowa drukowanego, biorący w jakimkolwiek stopniu czynny udział w życiu politycznym, społecznym, religijnym, kulturalnym i gospodarczym społeczeństwa. Słowo drukowane musi być łatwo dostępne nie tylko w miastach, ale i na wsi.

Czasami na wsi psuje się mnóstwo produktów rolniczych z powodu pozornego nadmiaru wytwórczości. Nadprodukcja istnieje tylko w stosunku do potrzeb lokalnych, podczas równoczesnego braku tychże produktów w innych okolicach. Świeżo na przykład w jednym z powiatów wielkopolskich zmarnowały się olbrzymie ilości wiśni i ogórków, jak ogłasza o tym spółdzielnia rolniczo-handlowa „Rolnik" w Międzychodzie, w „Głosie Wielkopolskim" z dn. 8 sierpnia 1947. Przetwórnie owocowe i kwaszarnie nie chcą przyjmować towaru dosłownie za grosze. Dlaczego? Bo odbiór i transport nie zostały zorganizowane i to nawet w tak wysoko pod względem kultury rolniczej stojącej części kraju jak Wielkopolska. Podobnie zdarza się niejednokrotnie, że marnują się gdzieś ogromne ilości nabiału, podczas gdy w innych stronach panuje głód, drożyzna i lichwa, brak towaru za drogie pieniądze. Za dziesięciokrotnie wyższą cenę od międzychodzkiej nie dostaniesz w wielu miejscach wiśni i ogórków. Bo nikt nie pomyślał o należytej organizacji odbioru towaru.

Tak samo jest w dziedzinie dóbr duchowych. Normalne prawa ekonomiczne obejmują sprawy „artykułów oświaty", handlu i kolportażu książek oraz czasopism. Ich produkcja wymaga **zorganizowania,** rozprowadzania, środków transportowych, penetracji pośredników handlowych, zainteresowania konsumentów, przybliżenia, uprzystępnienia, łatwego dostępu.

Mówią już o nasyceniu rynku czytelniczego, o przesycie, o walce z nałogiem czytania, o zupełnym spadku konsumcji — w miastach. A na wsi książka rozchodzi się nadal w bardzo skąpych ilościach.

Nawet książka specjalna, dotycząca spraw wiejskich — polnych, ogrodniczych i leśnych, hodowli i uprawy, dalej kwestii kulturalno-oświatowych i społecznych, związanych ściśle z życiem wsi — nie ma powodzenia, jakie mogła by mieć wobec niezbadanych potrzeb konsumcyjnych, a nawet możliwości materialnych wsi, wziąwszy już pod uwagę ich najbardziej minimalne granice.

Jeśli smętny jest los podręczników fachowych, niezmiernie użytecznych w życiu codziennym, to cóż mówić o literaturze zajmującej dalsze miejsce w hierarchii potrzeb! Cóż mówić o książkach trudniejszych i mniej popularnych, przeznaczonych specjalnie dla inteligencji wiejskiej, o książkach wychodzących poza kategorię praktycznych... A któż zaprzeczy, że pisma najznakomitszych historyków, publicystów, poetów i powieściopisarzy powinny być dostępne mieszkańcom wsi — w sensie techniczno-handlowym — nie gorzej niż mieszkańcom miast? Tak samo, jak chleb codzienny, jak nafta, zapałki, szare mydło, garnek gliniany czy aluminiowy, porcelana, kosa, sierp, grabie, cukier, sól, machorka... Nie tylko Mickiewicz i Sienkiewicz, ale i Aleksander Świętochowski i Bolesław Limanowski, Władysław Orkan i Andrzej Strug, Maria Konopnicka i Adolf Dygasiński, mają szanse znalezienia szerokich kół czytelników i wielbicieli w polskiej wsi.

Nie ma pojęcia luksusowości i zbędności, kiedy chodzi o rolę słowa drukowanego w życiu dojrzałego obywatela. Łatwiej pogodzić się z utratą wzroku w obliczu przyrody — cudów łąk, pól i lasów, aniżeli utratą władzy posługiwania się oczami dla lektury. Świadczy o tym życie niewidomych. Używają oni własnego alfabetu do sztuki czytania, zazdroszczą przywileju niedoceniającym potężnego narzędzia człowieczeństwa, tak jak kaleka pozbawiony rąk i nóg zazdrości pełnej władzy fizycznej samobójcom.

Konkretnie podaję tutaj następujący plan, jak rozpowszechniać słowo drukowane na wsi:

Stworzyć sieć k s i ę g a r n i r u c h o m y c h w postaci krytych samochodów ciężarowych, celem rozwożenia książek i czasopism po wioskach. Każdy samochód winien być zaopatrzony w doskonały motor aby mógł przebywać najcięższe „polskie drogi". Winien mieć wygląd estetyczny nie ustępujący pod względem elegancji najwytworniejszym autobusom lub troleybusom. Po bokach wozu — szyby wystawowe i gabloty z książkami oraz napisy: KSIĘGARNIA RUCHOMA.

W środku wozu — urządzenie sklepu księgarskiego, t. j. lady wystawowe wzdłuż ścian, zapraszające do bliższego oglądania książek, półki z książkami, mały magazyn, miejsce dla obsługi księgarskiej, kasa.

Personel księgarni ruchomej: 1) kierowca, 2) wyszkolony księgarz sortymentysta, odznaczający się specjalnym zamiłowaniem i kwalifikacjami do pracy na wsi, możliwie pochodzący ze wsi, 3) instruktor oświatowy — propagandysta — ewentualnie kolporter do sprzedaży czasopism, przyjmowania prenumeraty i funkcji pocztowej.

Zakres obsługi księgarskiej może być bardzo wdzięczny i szeroki, zależnie od kwalifikacji oświatowo-społecznych zatrudnionych osób.

Samochód według pobieżnego planu powtarza co tydzień określoną trasę, odwiedzając poszczególne miejscowości z regularnością autobusu lub pociągu. Długotrwałość postojów uzależniona od wielkości osiedli i ruchu klienteli. Miejsce zatrzymania się pod każdą szkołą, kościołem, urzędem gminnym lub sołectwem. Personel księgarni ruchomej ma oczywiście możność zadzierżgnąć stałe kontakty z nauczycielstwem, duchowieństwem, milicją, urzędnikami i organizacjami społecznymi, które z pewnością okażą wszędzie chęć korzystania z usług pożytecznej placówki. Może ona śmiało pełnić funkcje pocztowe na większą skalę. Przydać się może w samochodzie do tej służby siła żeńska w osobie kasjerki i biuralistki.

Księgarnie ruchome winny być stworzone przez spółdzielnie wydawnicze przy współudziale lub pod bezpośrednią opieką Ministerstwa Poczt, Min. Oświaty, Ministerstwa Kultury — ewentualnie na odwrót przez czynniki państwowe, w ścisłej współpracy z Państwowymi Zakładami Wydawnictw Szkolnych, spółdzielniami wydawniczymi, hurtowniami księgarskimi, Polskim Towarzystwem Wydawców Książek i Związkiem Księgarzy Polskich.

Nie ma nic nowego pod słońcem — prototypem polskiej księgarni ruchomej dla wsi można nazwać znane nam dobrze z czasów okupacji niemieckiej księgarnie frontowe na kołach, zwane „Frontbuchhandlung". Kto je widział podczas wojny, ten lepiej zrozumie pokrewne zadania walki na pierwszej linii — frontu oświaty.

Warto wprowadzić samochodową służbę oświatową najpierw tytułem próby — na terenie jakiegoś województwa najbardziej upośledzonego pod względem komunikacji pocztowej oraz kolportażu słowa drukowanego. Warto wybudować lub urządzić prowizorycznie (na próbę!) jak najprędzej bodaj kilka wozów do celów oświaty powszechnej.

Niejeden działacz ludowy z prawdziwego zdarzenia, niejeden pisarz ludowy, niejeden amator pedagog, psycholog i doradca oświatowy, a umiejętny sprzedawca wzniosłego towaru — ze szczególnym upodobaniem do kontaktów bezpośrednich z ludnością wiejską — znajdzie wdzięczne pole dla wyładowania idealizmu w księgarni objazdowej, odwiedzającej polską wieś.

Stanisław Paleczny

Stary kolporter

(autentyczne)

Zastanawiając się nad sprawą kolportażu i rozwijania czytelnictwa, przypomniałem sobie, jak to dawniej w mojej rodzinnej wiosce jeden człowiek tę sprawę rozwiązywał. Nie sądzę, iż nonsensem byłoby postępować dzisiaj podobnie do poniżej opisanego przykładu z lat ubiegłych. Chcę tu przedstawić prawdziwie autentyczne wysiłki jednego człowieka, który choć prosty, nieuczony, zdawał sobie sprawę jasno, czym może być i stać się dla ludu wiejskiego czytelnictwo i płynąca z niego oświata. Proszę pozwolić, że zacznę od jego prezentacji: Otóż nazywał się po prostu Jan Wrabik, pospolicie zwany przez wszystkich, nie wiem z jakich przyczyn, może on sam nawet o tym nie wiedział — Jasiem Mamaryłką. Jasiem pozostał aż do późnej starości i śmierci. Przezwisko przylgnęło do niego zapewne już w dzieciństwie, co przeważnie po dziś dzień jest jeszcze praktykowane na wsi, że nieopatrznie wymówione słowo własne czy czyjeś o kimś — staje się już nieodłącznym drugim, najczęściej używanym przez innych mianem człowieka, często nawet ubliżającym jego godności. Tak więc powstają na wsi różne przydomki, jak: Gmyrek, Cimek, Ciaska, Jasiorka, Panosek, Ciamać, Kujosek, Bejdok, czy wiele innych, na których — i to tylko ze znanej mi rodzinnej wioski — brakłoby w tym artykule miejsca. Ale odbiegam od tematu, choć do tych rzeczy kiedyś powrócę. A więc pod nazwą Jaś Mamaryłka znała go cała rodzinna wioska, jak też i inne okoliczne miejscowości, do których często zaglądał. Był wzrostu słusznego, starszy już wiekiem, jak zapamiętałem, będąc jeszcze dzieckiem 12-sto letnim, na szerokiej, porysowanej gęsto bruzdami twarzy, odbijała się jednak dobroć i naiwność, potęgowana jeszcze smętnymi blado-niebieskimi oczami, otoczonymi gęstą zaroślą krzaczastych brwi. Ręce jego, zwłaszcza dłonie, były wielkie, grube i szorstkie w dotyku, o tego zakończonych uzbrojonymi w szerokie łopaty paznokci — palcach, w które, gdy chwycił czyjąś dłoń to tonęła w nich zupełnie. Głos jego chropawy, nadzwyczajny grubością tonu, którego umiał używać w swym zawodzie doskonale — pasował jakby ulał do całej jego postaci. Widywałem go zawsze w jednym i tym samym ubraniu, szarych, zdaje się płóciennych spodniach, cajgowej kapocie i w zgrzebnej, szerokiej, na jeden tylko guzik pod szyją zapiętej koszuli, której zanadrze według swego zwyczaju i zawodu zawsze, ilekroć wychodził z domu na wieś, miał ciężko wypchane. — Czym? To nas dzieci zawsze obchodziło, że biegaliśmy za nim, gdzie tylko wstąpił do którego domu, by oglądać te cuda, które jego zanadrze chowało. Otóż drodzy, ten człowiek tak niepozorny, ubogi, chodzący zwykle boso i mieszkający kątem u brata, później szwagra, to człowiek noszący w swym zanadrzu wprost na sercu to, co czuł w nim, iż może polepszyć dolę chłopa — jego bliźniego — „Oświatę"!

Tak, oświatę. Ten człowiek, niby siewca z swego płótna z zanadrza swej obszernej koszuli rozsiewał między lud wiejski słowo drukowane, słowo, które innymi sposobami nie mogło trafić na wieś i być przez nią przyjęte. Jego głos zachęcający do czytania miał siłę nieodpartą, wprost zniewalał do kupna książki czy kalendarza. A miał je różne, począwszy od religijnych, jak Żywoty Świętych, historyczne, powieściowe, opowiadania, a skończywszy na kalendarzach głównie tzw. uniwersalnych, drukowanych dla Polaków aż do 1918 r. w Wirtenbergii i ludowych wydrukowanych przez ks. Stojałowskiego, oraz wielu innych wydawnictw ówczesnych. Słowem, nosił przy sobie całą bibliotekę wiejską.

Dzisiaj, gdy wieś postąpiła znacznie naprzód, wielu wyśmiałoby takiego kolportera, zapominając, że właśnie przez jemu podobnych wznieść się mogła dzisiejsza wieś na wyższy stopień kulturalnego rozwoju. Dziwne było nad wyraz, że ten człowiek z trudem, o własnych siłach zdobywszy trudną wówczas sztukę czytania i pisania, tę ostatnią bardzo słabo (zamówienie na książki często pisywał mu ktoś inny) — tak rozumiał i doceniał książkę, w ogóle słowo drukowane.

Na wsi, jak to zwykle bywa, nie każdy ma zawsze gotówkę, więc też nasz Jaś Mamaryłka często musiał „borgować" i choć nie często w zamian odbierał należność, nigdy się nie uskarżał, ciesząc się tym, że jego książki idą między ludzi. Nie wyprzedanych egzemplarzy nie odsyłał nigdy, wypełniał nimi szafy i wszystkie półki w swej niewielkiej komorze służącej mu jako pokój, kuchnia i warsztat bednarski. Niechętnie jednak pożyczał, wolał na „burg" sprzedać, choć wiedział, że gotówki może nie otrzyma. Rzecz jasna, że dochód jego był bardzo wątpliwy, ale nasz kolporter o to nie dbał. Dodatkowo trudnił się bednarstwem i często z tego zawodu pokrywał niedobory pierwszego. Posiew jego pracy wyraźnie wzrastał z latami, ludzie nabierali coraz więcej ochoty do czytania, ciekawi nowych bohaterów, nowych przygód, nowych wiadomości ze świata i własnego kraju.

Gdy zmarł lat temu blisko trzydzieści, pozostała po nim poważna biblioteka, która później zniszczała, rozszarpana przez nieodpowiednich ludzi, nierozumiejących jeszcze jej wartości, a częściowo wyprzedana przez rodzinę. Za dziecinne oszczędności sam wówczas nabyłem z tej biblioteki dwie książki, długo przechowywane przeze mnie wprost z pietyzmem, jako pierwsze, które zapoczątkowały mą bibliotekę.

Przepadły mi jednak wraz z innymi w czasie ub. wojny. Blisko trzydzieści lat upłynęło od śmierci tego zasłużonego dla wsi człowieka, śmierci prawie że w zapomnieniu i osamotnieniu, a nie znalazł się już we wsi nkt, kto by nadal kontynuował jego dzieło szerzenia czytelnictwa. Prawda, że wieś innymi sposoby korzysta dziś z czytelnictwa, inne formy przybrał ten problem, jak tworzenie bibliotek i czytelni, lecz to nie zawsze jest wystarczające; jeszcze trzeba na wsi zdobywać czytelnika, nieraz prawie przemocą, udostępniać mu właściwą i pożyteczną literaturę, nie tę z bud jarmarcznych, czy odpustowych, a z wydawnictw ludowych czy innych niosących wsi to, co ona potrzebuje i żąda. A tego może jedynie dokonać człowiek kolporter, oddany sprawie chłopskiej, jak opisany powyżej „Jaś Mamaryłka".

W. Michajłow

tłum. **W. Baranowski**

Książka na wsi radzieckiej

W Rosji przedrewolucyjnej Szczedrynowscy „kapłony myśli" i ludzie o lekkiej wadze, „ówcześni bohaterzy" społeczeństwa rosyjskiego według słów wielkiego satyryka rosyjskiego „dążyli do tego, aby się wyzwolić od wszelkiego rodzaju wątpliwości i wytworzyć dla siebie warunki życia bez potrzeby zastanawiania się i myślenia." Do wytworzenia takiej atmosfery niezamąconego spokoju i marazmu usilnie dopomagali carscy satrapowie pieczołowicie strzegący masy narodowe przed przejawami samodzielnego życia. Na wieś rosyjską nie docierało żywe słowo, lub książki pobudzające do myślenia. Chłop otrzymywał tylko makulaturę. Niekrasow marzył wówczas o nadejściu czasów, kiedy piśmienny chłop — przyniesie z jarmarku nie Bluchera, nie „Głupiego Milorda" lecz utwory Brelińskiego i Gogola. Biblioteki wiejskie były rzadkością a księgozbiory składały się wyłącznie z książek „dozwolonych". O izbach — czytelniach, a tym bardziej o wiejskich klubach w ogóle nie było mowy.

Rewolucja październikowa zmiotła te wszy-

stkie przeszkody. Analfabetyzm masowo ustąpił ze wsi rosyjskiej. Książki szerokim strumieniem popłynęły do mas chłopskich. Rosyjski rolnik z kołchozu nie czytuje już dziś książek o „Głupim Milordzie". Do niego dotarli klasycy rosyjskiej i zagranicznej literatury i słowo Lenina i Stalina.

Sama tylko Federacja Rosyjska liczy obecnie 34 tysiące czytelni chłopskich, 6675 bibliotek wiejskich i 2425 rejonowych, ponad 6 tysięcy wiejskich i 10 tysięcy kołchozowych klubów. Na tych placówkach oświaty pracuje 90 000 pracowników etatowych, którym pomagają miliony aktywistów z pośród wiejskiej inteligencji i chłopów.

Szczedrynowski „Kapłon myśli" zszedł z widowni. Pięćdziesiąt tysięcy lektorów, setki tysięcy książek z najróżniejszych gałęzi wiedzy wzbogacają i ożywiają myśl mieszkańców wsi, otwierają przed nim szerokie horyzonty. W r. 1946 miliony chłopów wysłuchały 600 tysięcy odczytów i prelekcyj o zagadnieniach gospodarstwa wiejskiego, pięcioletnim planie gospodarstwa narodowego, o życiu międzynarodowym, o literaturze, sztuce itd.

Biblioteka kołchozu im. Woroszyłowa w Czuwaszskiej Republice.

Pęd wsi radzieckiej ku książce i kulturze jest olbrzymi, a człowiek radziecki nie żałuje środków na oświatę narodową. W czasie okupacji barbarzyńcy nazistowscy zniszczyli na terytorium ZSRR do 4000 bibliotek, 8000 czytelni i klubów wiejskich. Obecnie zniszczenia te są odbudowywane. Ponad 1200 bibliotek zniszczonych i spalonych przez Niemców już są uzupełnione i pracują normalnie. Powstają nowe ogniska kultury. W samym tylko okręgu Kaliniowskim otwarto ponad 1000 czytelni i klubów wiejskich i 36 rejonowych Domów Kultury.

Nowy plan pięcioletni (1946—1950) przewiduje doprowadzenie ilości klubów wiejskich w RSFRR w 1950 do 20 000, rejonowych Domów kultury do 2500, bibliotek wiejskich do 11.000.

Społeczeństwo miejskie bierze w budownictwie kulturalnym jak najaktywniejszy udział własnymi środkami i pracą. W rejonach Borysowskim, Biesiedzińskim, Manturowskim i inn. Okręgu Kurskiego chłopi zbudowali i wyremontowali dziesiątki czytelni i klubów wiejskch. W okręgu Smoleńskim otwarto w ostatnich czasach 10 domów kultury, a przy 47 wiejskich radach — nowe izby — czytelnie. W okręgu Gorkowskim na budowę i urządzenie klubów, bibliotek itp. wydatkowano sumę 700.000 rubli.

W kwietniu rb. chłop ze wsi Borowaja Polana Okręgu Saratowskiego — Jegor Ignatow ofiarował swej wsi osobistą bibliotekę, składająca się z ponad tysiąca tomów, w ich liczbie pierwsze wydania prac Adama Smitha, Lwa Tołstoja i inne. We wsi uchwalono wybudowanie wzorowej biblioteki.

Również w innych republikach Związku Radzieckiego zaobserwować można intensywny rozwój kultury wiejskiej. Na terytorium Republiki Karelo-Fińskiej, gdzie przed rewolucją biblioteki były zjawiskiem wyjątkowym, powstało obecnie ponad 250 bibliotek wiejskich. Wydatki na zakup książek wynosiły w r. 1946 612 tys. rb., w roku zaś bieżącym — 1250 tysięcy rubli.

Na Ukrainie, Białorusi, w Mołdawii, gdzie wszystkie wartości kulturalne ze szczególną zaciekłością niszczone były przez okupantów, trwa intensywna ich odbudowa. W Kijowie społeczeństwo zorganizowało zbiórkę książek dla biblilotek wiejskich, organizacja młodzowa samego tylko uniwersytetu kijowskiego wysłała na wieś ponad 10 tysięcy książek. W mieście zebrano kilkadziesiąt tysięcy tomów, z których kompletuje się 1154 bibliotek literatury naukowo-popularnej, agrotechnicznej, i beletrystyki, celem wysyłki do kołchozów.

———

Praca kulturalno-oświatowa na wsi radzieckiej jest rozległa i nader urozmaicona, współczesne biblioteki wiejskie znacznie odbiegają od typu bibliotek przedrewolucyjnych. Przede wszystkim podniósł się poziom bibliotekarzy kształconych w specjalnych zakładach naukowych. Kluby i czytelnie stały się naturalnym ośrodkiem kultury. Pracownicy instytucji kulturalno-oświatowych na wsi w pracy swej nie są bynajmniej odosobnieni, korzystając z czynnej współpracy milionów aktywistów.

Dla zilustrowania rozmachu pracy oświatowej na wsi radzieckiej, weźmy jako przykład czytelnię ludową wsi Popkowo, okręgu kałuskiego. Kierowniczka czytelni jest entuzjastką swej pracy i w oparciu o aktywistów rozwinęła szeroką działalność. Utworzyła bibliotekę, prenumeruje prasę centralną, okręgową i rejonową, czasopisma. W czasie prac polowych aktyw czytelni rozwija masową pracę w brygadach kołchozowych, gdzie są urządzane pogadanki, wydawane gazety ścienne. Wszystko to zespala chłopów w walce o wysokie zbiory. Przy czytelni są zorganizowane kółka agrotechniczne, dramatyczne i śpiewu chóralnego. Z każdym dniem niemal wzrasta liczba uczestników wszechstronnych imprez objętych działalnością czytelni.

Książka przenika do sowieckiej wsi nie tylko poprzez miejscową sieć bibliotek, czytelni, klubów i Pałaców Kultury. W 13 okręgach, krajach i Republikach Autonomicznych Federacji Rosyjskiej — w Baszkirji, Tatarskiej autonomicznej republice, w Staropolszczyźnie itd — najbardziej oddalone ośrodki wiejskie obsługuje 30 bibliotek ruchomych zainstalowanych w samochodach, które prócz książek posiadają radioodbiorniki oraz umeblowanie dla urządzenia czytelni pod gołym niebem. Na letnich pastwiskach Czamczinkacharu w okręgu Dżałał-Abad w Kirgizji pasterze są zaopatrywani w książki i czasopisma za pośrednictwem wysyłanej w teren „Czerwonej Jurty" (jurta — domek narodowego typu z wojłoku). Dla rybaków pracujących na Wołdze i na morzu Kaspijskim książki docierają ze specjalnej pływającej „bazy kulturalnej", zainstalowanej na statku.

Wreszcie mieszkaniec wsi może kupić książkę na miejscu, gdyż sieć księgarni i kolportażu w Związku Radzieckim z każdym rokiem ulega rozszerzeniu. W kraju np. Ałtajskim sprzedaż książek na wieś uległa w porównaniu z ubiegłym rokiem przeszło trzykrotnemu powiększeniu. Przyczyniają się do tego potężne i stale wzrastające nakłady książek wypuszczanych przez wydawnictwa radzieckie.

W. Michajłow

Poszukujemy kandydatów na KOLPORTERÓW
objazdowych (gminnych)
do rozsprzedaży czasopism i broszur
na warunkach komisowych
Kandydaci (posiadający rowery) mogą zgłaszać się listownie w porozumieniu z właściwym terenowo Zarządem Związku Samopomocy Chłopskiej pod adresem: Dział Wydawniczy Z. S. Ch. **Warszawa, pl. Starynkiewicza 7/9.**

Listy w sprawie wczasów chłopskich

Wczasy — kursy dokształcające

Bywało i jest jeszcze tak, że odpoczynkowymi wczasami dla mas chłopskich były jedynie i wyłącznie te masowe ich pielgrzymki na odpusty do miejsc sławnych z cudowności jak: Częstochowa, Kalwaria, Leżajsk, Piekary — i to pielgrzymki z nieuchronną poniewierką przez kilka dni w roku, odbywane pieszo. Lecz jak było przed tym, tak jest i teraz i nigdy nie będzie możliwy wyjazd chłopa w porze letniej na prawdziwy wypoczynek. Żaden też chłop na takie wczasy nie zgodziłby się, gdyby mu je proponowano, bo cóż by to był za gospodarz, który by dla jakichś tam wczasów opuszczał i zaniedbywał swe gospodarstwo? Pozwalali sobie na to czescy „sedlacy", ale i oni tylko wyjątkowo mogli w miarę możności dla ratowania zdrowia korzystać z wyjazdów do miejsc uzdrowiskowych.

Chłopu trzebaby jednak umożliwić korzystanie z wczasów wypoczynkowych w porze dla niego dogodnej, to jest w porze zimowej, gdy się już uporał z młocką. Miesiące zimowe: styczeń i luty, do połowy marca — byłyby na takie wczasy wypoczynkowe dla chłopów najodpowiedniejsze i to nie dłuższe jak **dwa tygodnie.** Mogliby je chłopi spędzać w **Uniwersytetach Ludowych** celem dokształcenia się zawodowo. Większa ilość chłopów mogłaby wykorzystać takie wczasy urozmaicone pogadankami na tematy: wzorowej gospodarki rolnej, hodowli bydła, drobiu, pszczół, sadownictwa, warzywnictwa, urządzania wzorowych ogrodów i sadów, obsadzania dróg i miedz drzewami owocowymi i morwowymi, uprawy lnu, scalenia gruntów, osuszania podmokłych łąk torfiastych, dalej tematy o Polsce współczesnej i spółdzielczości, oraz o uprawianiu i rozwinięciu przemysłu domowego i elektryfikacji. — Oczywiście wypoczynku takiego nie można obciążać zbytnio nużącymi wykładami. Pół godziny wykładu, po nim kwadrans wypoczynku, po przerwie dalsze pół godziny pozostawić na zapytania i wyjaśnienia.

W ten sposób przed południem mogłyby się odbyć dwa wykłady, a po obiedzie jeden wykład — no i wypoczynek przy wspólnej pogawędce, czytaniu książek i gazet. Zwiedzanie wzorowych gospodarstw rolnych mogłoby być stosowane — ale koszta utrzymania musiałyby być jakoś unormowane i przerzucone chyba na **fundusz pracy,** gdyż chłopi nasi nie mogliby tego ciężaru ponosić. Na takie wczasy chyba każdy chłop się zgodzi.

Ale może ktoś lepsze myśli podda?

Piotr Wyrobek

Wczasy — wycieczki

Obywatelu Redaktorze!

Słusznie podniósł ob. Jerzy Falenciak w jednym z ostatnich numerów „Wsi" sprawę chłopskch rolniczych wczasów.

Pozwolę sobie garść uwag dorzucić do dyskusji w tej sprawie i odpowiedzieć na postawione pytania: 1) Czy chłopu potrzebny jest odpoczynek poprzez wczasy zdala od jego zagrody?

Naturalnie, że takie oderwanie się od szarzyzny życia codziennego, zmiana miejsca pobytu jest wprost konieczna. — Robotnik czy mieszczuch urządza sobie wczasy w ten sposób, że pozostawia swój warsztat pracy i udaje się na łono przyrody — góry — morze — wieś i t.d. To znaczy uzupełnia te braki, których jego organizm odczuwał cały rok. Zmiana wiktu mięsnego — na mleczno-jarski też odgrywa dużą rolę. Jednym słowem ucieka od swoich codziennych trosk i kłopotów.

Czy takie wczasy damy chłopu? Nic podobnego — on przecież cały rok w swoim warsztacie znajduje warunki poszukiwane przez mieszczucha.

Pozwolę sobie wziąć przykład z kraju nawskroś chłopskiego — rolniczego — Danii.

Tam wczasy pojmuje się, jako serię wycieczek co najmniej dwu — do trzy tygodniowych urządzanych rok rocznie przez Związki Zawodowe, organizacje i t.p. — Kiedy? W okresie robót powiosennych, w czasie przed albo pożniwnym. Jak jest organizowana taka wycieczka? — Zwiedzanie obiektów rolnych nowocześnie urządzonych, miast, pamiątek narodowych, fabryk i t.d. Bardzo dużo daje bezpośrednie zetknięcie się wzajemne z rolnikiem z innych okolic, wymiana zdań itp. Nad całością czuwa Minister Propagandy przez swych pracowników, przewodników i t. d. Część kosztów pokrywają członkowie — resztę Związki — bardzo duże ulgi kolejowe, autobusowe, okrętowe do 75% — skład wycieczek starannie dobierany — podział na rolników do 5 ha wzwyż i właścicieli karłowatych gospodarstw 1/2 do 1 ha. Dlaczego tak? Ano bo inne zainteresowania rolnicze mają „grubsi" rolnicy a inne tak zwani „chałupnicy", czego nie należy identyfikować z naszym pojęciem chałupnika.

Byłem sam członkiem takiej duńskiej wycieczki i wiem, że korzyści są duże.

2) Czy możliwe jest to w tej chwili i w jaki sposób? — Możliwe, tak! ale nie robić odrazu masówek, a puścić pewną ilość „balonów" próbnych. Później zebrać cały materiał, braki usunąć i rozpocząć na szerszą skalę. Minimum 10—14 dni. Niekoniecznie utarte szlaki Śląsk czy Gdynia, a raczej wybierać odległe rolnicze okolice.

Zorganizować wzajemną pomoc przez dostarczenie podwód posiłków i t.p. o ile możności bezpłatnych lub tanich, no i najważniejsze **zniżki kolejowe.** Pkt. 3) Jakie mogą być przeszkody chłopskich wczasów? Przede wszystkim **gnuśność i obojętność starszych 40—50 lat — gospodarzy.** Ich trzeba zainteresować, wciągnąć do opracowania programu wycieczki — wczasów i zacząć działać. Źle czy dobrze, ale zacząć, a później to już samo życie wskaże drogi właściwe.

Zasadniczo wczasy są potrzebne **wszystkim** a więc i chłopu (gospodarze i gospodynie). Przez takie wczasy rozszerza się światopogląd, a przede wszyskim poznanie własnego kraju. Przeżycia dają dużo materiału do przydługich i niestety u nas niewłaściwie i źle wykorzystywanych wieczorów jesienno-zimowych.

„Zabużak", obecnie „Nad warciak"

Cudzoziemszczyzna i swojszczyzna

Szanowny Panie Redaktorze!

Temat wczasów jest i aktualny i ciekawy tak ze strony społecznej, jak i psychologicznej i wart jest szerszego i poważniejszego rozpracowania ankiet zaproponowanych przez J. Falenciaka. To jest pozytywna treść tego listu ale poza tym są tam sformułowania, które budzą poważne zastrzeżenia i są niezrozumiałe.

Pierwsze — nie rozumiem dlaczego polski chłop jest nieszczęśliwszy od innych? To, że jest inny — zgoda — bo wiadomo, że cały zespół warunków zewnętrznych kształtuje nie tylko grupę społeczną ale i poszczególne jednostki. Ale dlaczego nieszczęśliwszy?

Drugie — „Ale chłop z Liskowa czy Hanzlówki to dla mnie cudzoziemszczyzna i tego ani myślę brać za przykład" (sic!).

Proszę p. Autora o wyjaśnienie mi i uzasadnienie swojego twierdzenia, jak to jest z tą cudzoziemszczyzną w tych dwóch wsiach polskich i co zrobili takiego chłopi tych dwóch wsi, że w morzu swojszczyzny narodowej stali się wytykaną publicznie wyspą „cudzoziemszczyzny"?

Sz. Panie — znajdzie Pan sam, a zwłaszcza w Liskowie swojszczyzny tej starej i zatęchłej wsi aż nadto. Gdyby nie nadmiar tej swojszczyzny, Lisków mógłby być jeszcze lepszy niż jest. We wrześniu mają być w Liskowie uroczystości i to nie małe, jest blisko i okazja wyśmienita, by poprawić i zmienić swój sąd o tej cudzoziemszczyźnie!

Jeśli przeżył wojnę, to żyje na pewno dotąd w Liskowie p. Witczak. To stary uparciuch i pielęgnator swojszczyzny w Liskowie. W 1937 roku słyszałem, jak dziennikarzom pokazywał swoją stodołę, co ma 200 lat, gnojownik na środku podwórza i pokrzywy. Tę swojszczyznę trzeba widzieć. Pisanie nie daje żadnego obrazu. Przecie świat idzie ewolucyjnie naprzód, czy wysiłki tego postępu to cudzoziemszczyzna? Lisków miał albo wielkich wrogów albo wielkich przyjaciół — ale nie słyszałem jeszcze nigdy nikogo, co by bluźnił wysiłkom chłopów tej wioski. Dlatego musi Pan uzasadnić i wyjaśnić swoje twierdzenie w sposób rozsądny i oparty na dowodach. Z drugiej strony byłbym wdzięczny Panu J. Falenciakowi, gdyby był łaskaw wykazać, jakie to pomniki swojszczyzny wystawił w swojej rodzimej wsi, — niech mi powie, gdzie się te rzeczy dzieją, abym i ja mógł je zobaczyć i porównać z cudzoziemszczyzną Liskowa czy Hanzlówki. — Mnie się zdaje, że należy tak budować sądy o rzeczach i zjawiskach, aby miały „jednoznaczne znaczenie" tak u piszącego, jak i czytającego.

Oczekuję dalszych listów z Mielna drukowanych we „Wsi" — oraz życzę p. J. Falenciakowi dobrych i zdrowych dalszych wczasów.

Pozostaję z należytym szacunkiem

Lis Marian

Jodłowa, dn. 21.8. 1947.

Wieś

zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym, wpłacając należność na konto:

PKO Łódź VII — 1080,

z naznaczeniem na odwrocie przekazu: „Prenumerata „Wsi".

Należy **czytelnie** podać nazwisko i adres zamawiającego.

Należność za prenumeratę wraz z przesyłką wynosi:

miesięcznie 40 zł
kwartalnie 120 zł
półrocznie 240 zł

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30 000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—016002